

Dziś w numerze: ● **Zycie dla ludzi** ● **Prowincja to anachronizm - rozmowa z M. Piechalem** ● **Gastronomiczna karuzela** ● **Kogut dla Asklepiosa** ● **Nowe wiersze** ● **Grecja za kratami** ● **Recenzje** ● **Felietony**

odgłosy



Nr 23 (437)
11. VI. 1967 r.
16 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



DZIEŃ POEZJI

Po raz drugi już nasze miasto, jak by powiedział Tuwim, przechodzi pod dyktando poetariatu. 9 czerwca dostojna sala posiedzeń Rady Narodowej m. Łodzi stanie się miejscem obrad II Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji.

Myślą przewodnią tego zjazdu, w którym wezmą udział najwybitniejsi twórcy Polski jest sens społeczny poezji, a więc problem, którym interesują się wszyscy odbiorcy sztuki. Stanowi to zapowiedź, że tym razem dyskusja wyjdzie poza wąski krąg specjalistów. Liczne wieczory autorskie, które towarzyszyć będą Festiwalowi gwarantują, że w tej dyskusji nie zabraknie także zwykłych, czytelnicznych głosów i nie może ich zabraknąć.

Festiwal, jak to już wcześniej zapowiedzieli organizatorzy — Wydział Kultury RN m. Łodzi i Związek Literatów Polskich — będzie miał charakter przede wszystkim roboczy. Jego program przewiduje kilka referatów i dyskusje. Są tam wszakże pozycje stanowiące bardziej uroczystą oprawę tego zjazdu. Uczestnicy Festiwalu zwiędzą na przykład niektóre, ważniejsze placówki kulturalne w naszym mieście. Inicjatywa ta wydaje nam się bardzo ważna, gdyż jak o tym często świadczą głosy centralnej prasy literackiej wiedza o Łodzi jako ośrodku kultury jest w innych ośrodkach bardzo uboga i czas zmienić te mylne wyobrażenia. Najlepiej sprawie tej przysłuży się zresztą sam Festiwal Poezji, na którym Łódź jako gospodarz i organizator będzie licznie reprezentowana.

To zresztą, że ten roboczy zjazd poetów odbywa się w Łodzi także nie jest przypadkiem. Organizacja Festiwalu od dawna była ambicją łódzkiego środowiska literackiego, w którym poeci odgrywają czołową rolę. Uwzględniając także interesujące często próby najmłodszych można mówić o wielkim ruchu poetyckim w naszym mieście.

Z Festiwalem mamy prawo łączyć duże nadzieje. Jest on choćby wielką szansą dla debiutantów w całym kraju, którzy zdobyli się na odwagę udziału w konkursie na wiersz. Skład jury, w którym zasiadają wybitni poeci i krytycy tej miary co Przybos, Bieńkowski, Sandauer, Kwiatkowski pozwala przypuszczać, że nie będzie taryfy ulgowej i nieznanego jeszcze z nazwiska laureata konkursu witamy jako najmłodszego poety polskiego z wawrzynem. W jury zasiadają także łodzianie: Piechal, Skwarczyńska i Brucz i dziwi nas tylko nieobecność nestora łódzkiej poezji Stanisława Czernika.

Ale Festiwal jest także szansą dla poezji i dla poetów. Dzięki niemu niepokoję o stan polskiej poezji sygnalizowane przez prasę literacką (warto przypomnieć w tym miejscu interesującą dyskusję w redakcji „Kultury”) mogą przerodzić się w poszukiwania nowych treści jeszcze mocniej osadzonych w tradycjach i dążeniach naszego narodu. Społeczny sens poezji — to zobowiązuje. I na pewno znajdzie odbicie w praktyce poetyckiej twórców.

Dlatego też serdecznie witając II Ogólnopolski Festiwal Poezji w Łodzi obok tradycyjnych życzeń owocnych obrad życzymy jednocześnie wszystkim uczestnikom nowych utworów, utworów wyrażających pragnienia człowieka społecznego i dla człowieka.

REDAKCJA

W dniach od 22 do 27 maja br. w Wielkim Pałacu Kremlońskim w Moskwie obradował IV Zjazd Związku Pisarzy Radzieckich. Wśród licznych referatów wygłoszonych przez wybitnych pisarzy, na szczególną uwagę zasługują wypowiedzi MICHAŁA SZOŁOCHOWA, której fragmenty drukujemy poniżej.

Sądząc, po minionych dniach Zjazdu, wszystko się tu odbywa jak przystało na statecznych ludzi: cicho, zgodnie, spokojnie, bez ostrych wystąpień, bez niepotrzebnego wzburzenia — słowem idylla, miłość bliźniego, błogostan. Stąd miarowe oddechy, dobrodusne miny, a na sali taki spokój, że niektórzy zaczynają drzemać...

Na poprzednich zjazdach inaczej bywało: mówiąc obrazowo, krzyżowały się miecze w czasie wystąpień rycerzy pióra, dzwoniły pancerze, w bojowym zapale nie oszczędzaliśmy się nawzajem. Jadąc do domu rozcieraliśmy obolałe miejsca i nabite guzy, gdyż jak wszyscy, i ja jestem za pokojem, za pokojowym współistnieniem w granicach Związku Pisarzy Radzieckich, a nawet poza nimi (śmiesz, oklaski)...

Cieszy mnie atmosfera spokojnej rzeczowości na Zjeździe, peszy natomiast jawny zamiar naszego kierownictwa, tak za wszelką cenę kierować Zjazdem, by uniknąć zażdźnienia. Myślę, że to niesłuszne... Nie stoję u steru zarządu naszego Związku, mimo to, pozwólcie szeregowemu pisarzowi, nie powołanemu do wydawania wytycznych, poruszyć zagadnienia, które jak mi się wydaje wielu z nas niepokoją. Najpierw słów kilka w związku ze Zjazdem. Wszystkim nam miło widzieć wśród naszych gości tych przyjaciół, którzy swoją obecnością i zainteresowaniem zaszczytlił nasz Zjazd... Ale mnie osobiście nadzwyczaj smuci nieobecność mojego starożytnego, dobrego przyjaciela Ilii Grigoriewicza Erenburga (oklaski). Rozjeżdżysz się dookoła — a tu nie ma Ilii Grigoriewicza i od razu jakby czegoś ci zabrakło, czujesz się nie-swojo, ścisła w dołku i smutek kładzie się czarnym cieniem... Gdzie Erenburg? Ponoć w przeddzień Zjazdu wyjechał ku brzegom słonecznej Italii... Nie wypadło Ilii Grigoriewiczowi obrazić nas wszystkich. Nie wypadło wynosić się ponad wszystkich i postępować wg zasady: „Każdy sobie rzepkę skrobie”. Niedobrze, bo zły przykład bywa zaraźliwy i obserwując taki egocentryzm i pogardę w stosunku do ogólnie przyjętych norm, niejednemu zadufany młody pisarz zaczyna płać figle, których kiedyś, gdy istotnie dojrzej, będzie się wstydział.

Jeśli mówimy już o młodych, to wspominając przeszłość pomyślimy i o przyszłości. W początkach lat trzydziestych, Fadiejew po pobycie w pewnym miasteczku środkowej Rosji opowiadał mi „Wiesz, zapragnęłam obejrzeć pewien stary klasztor. W klasztorze była czynna na wpół rozwalona cerkiew. Na zbożu fosy okalającej klasztor widzę bawiącą się gromadę dzieci, a z dala od nich samotny chłopczyk z zadością spogląda na rówieśników, lecz nie podchodzi, rwie wyschniętą trawę, rozgrzebie nogą ziemię... Przeskrobał coś — myślę. Podchodzę, pytam „Dlaczego nie bawisz się z innymi? Coś nabrośli?”. A on spojrzawszy na mnie dorosłym, smutnym spojrzeniem i mówi: „Jestem synem popa, mój tata prawi w tej cerkwi. Dlatego chłopcy nie kolegują się z mną i muszę się sam bawić”. Fadiejew zamilkł, a po chwili wybuchnął: „I wiesz, rozplakałem się. Odwróciłem się i zapłakałem. Jakże straszne dzieciństwo!” Jednakże zakończył opowieść jak należało: „Zresztą, ty wiesz! wszyscy rozbójnicy są trochę sentymentalni”.

Nasi „gniewni” młodzi przypominają mi tego syna popa. Bawią się samotnie, poza kolektywem. Lecz my „sentymentalni zbrojcy” nie rozpaczamy nad ich losem, nie staramy się zbliżyć do nich. A często pouczamy ich i postępujemy z nimi jak stary feldfelb z rekrutami. Myślę, że pora z tym skończyć... Powiedzmy uczciwie, że w zaistniałych niemożliwych wzajemnych stosunkach z częścią młodych ponosimy winę wszyscy: i Komsomol, i kierownictwo Związku, i my starzy pisarze... Młodość właściwa

jest pewność siebie, przerosty ambicji. Cóż, jeśli bierzemy na siebie część winy to pierwsi musimy podjąć inicjatywę zbliżenia. Nic nam od tego nie ubędzie, sądzę, że będzie to i słusne i dalekowszyczne. Nie przemilczę i tego, że pewną odpowiedzialność ponoszą i sami młodzi: obciąża ich fronda i lekceważenie ogólnie przyjętych norm postępowania i jeszcze inne sprawy. Przypiszmy to młodości...

W czasie I Zjazdu, pisarzy do lat 40-tu było 71 proc. Na II — już tylko 20,6 proc., na III — 13,9 proc. i w końcu z ogólnej liczby tu zebranych jedynie 12,2 proc. Starzejemy się bracia literaci! Wracamy czy nie czas pomyśleć o tym, by śmiało wprowadzać młodych tak na zjazdy jak i do kierowniczych organów oddziałów i związków pisarzy? Dotychczasowy stan był podobny do sytuacji panującej w armii, gdzie awanse są tak powolne, że zjeżdżają cię mole nim dosłużył się generała. Oczywiście, siwe włosy przynoszą zaszczyt, ale czy tego starczy by wejść do władzy? Niepokojąco przedstawia się średni wiek delegatów obecnego Zjazdu, który zbliża się do sześćdziesiątki. A to przecież dzień dzisiejszej literatury...

W ostatnim czasie na Zachodzie słyszy się coraz więcej głosów domagających się „swobody” twórczości dla nas, pisarzy radzieckich. Są to nieproszeni kibice, w liczbie których znajduje się i CIA i pewni senatorzy, i zdeklarowani białogwardziści, i uciekinierka Allelujewa i sławetny Kiereński, który od dawna stał się politycznym trupem. Oto w jakie zdumiewające towarzystwo trafiają żarliwi obrońcy naszej prasy.

W 1921 roku Lenin odpowiadając Miasnikowowi, który proponował swobodę słowa dla wszystkich — od monarchistów do anarchistów — włącznie, pisał: „Bardzo dobrze! Lecz wybaccie, wszyscy marksiści i wszyscy robotnicy poznający czcioletnie doświadczenie naszej rewolucji, powiedzą: orientujemy się jaką wolność prasy? W jakim celu? Dla jakiej klasy? Nie wierzymy w „absoluty”. Śmiejemy się nad „czystą demokracją”. Cóż więc powiedzą teraz marksiści i nauczni 50-letnim doświadczeniem naszej rewolucji robotnicy, słysząc o rozszereżeniu tych, co marzą o całkowitej „wolności” prasy?

Wietnam topią we krwi amerykańscy agresorzy. W Niemczech Zachodnich odradza się faszyzm. W Grecji do władzy dochodzi faszystowska junta wojskowa. Świat ogarnia trwoga i niepokój. A niektórym chce się „wolność” prasy dla wszystkich — „od monarchistów do anarchistów”. Czy to naiwność czy bezcelność? Ci, łaknący „wolności” starają się prowadzić swą zgnubną robotę wśród naszej młodzieży. O nie, panowie, nic z tego nie wyjdzie. Nie pójdą z wami ani „gniewni” ani „nie-gniewni” młodzi pisarze. Będą dzielić razem z nami i smutki i radości ojczyzny. Nie oddamy wam żadnego z nich.

Mówiono tu o pracy w latach wojny ojczyźnianej. Nie darmo Zarząd Polityczny Armii Radzieckiej trzyma nas w pierwszej rezerwie. I jeżeli ojczyzna będzie w niebezpieczeństwie, znów włożymy płaszcze żołnierskie i znów wstąpimy w szeregi naszej armii: i starzy i młodzi, i „gniewni” i „nie-gniewni” (burzliwe oklaski). Myślimy bowiem krew z krwi naszego narodu, i wszystko co On obronił i co On zdobył jest dla nas bezgranicznie drogim.

Na zakończenie trochę o przyszłości. Podzielałam pogląd Konstantina Fadiejewa, że jedynym gatunkiem w prozie — takim, który jest w stanie objąć nasze ogromne socjalne przemiany — była i pozostanie powieść. Umożliwia ona i będzie umożliwiać pisarzowi ukazanie szerokiej panoramy zachodzących w naszym kraju wydarzeń, ogromnych przemian; w psychice i świata topiącego ludzi, śledzące za losem bohaterów na przestrzeni długiego okresu czasu.

Czas więc uznanym mistrzom opowiadania i noweli, jakich jest u nas pod dostatkiem, wziąć większy rozmach... Myślę, że bogactwo pomysłów odpowiada naszym możliwościom. A czeka nas praca nie tylko w roku jubileuszowym. Wierzę mocno, że literatura radziecka ofiaruje krajowi i światu wiele nowych wspaniałych utworów. Do tego posiadamy warunki i możliwości.

Przekład E. L.

Kronika Tygodnia



(New York Herald Tribune)

Wyżsi funkcjonariusze wojskowi USA ujawnili informacje wskazujące, że nastąpiło przyspieszenie tempa wojny, znajdujące swój wyraz m. in. w niezwykłe zaciętych walkach wzdłuż całej granicy północnej oraz coraz skuteczniejszej obronie przeciwlotniczej DRW. W wyniku tego rozwoju wydarzeń straty amerykańskie znowu osiągnęły rekordowy poziom, zarówno w skali tygodniowej jak i miesięcznej.

Rząd boński postanowił dostarczyć około 20 tysięcy masek gazowych Izraelowi.

Po rocznej przerwie spowodowanej rewolucją kulturalną teatru i kina w Pekinie zaczęły znowu funkcjonować normalnie. Pokazy filmowe organizowane są nawet na ulicach miasta. Na sceny baletowe powróciło widowisko zatytułowane „Dziewczyna o białych włosach” opracowane jeszcze w latach trzydziestych. Bohaterka baletu, jak wszystkie dziewczęta obecnie w Chinach, występuje w spodniach. Noszenie sukien zostało przez rewolucję kulturalną zakazane.

„Literaturna Gazeta” o dyskusji na IV Zjeździe Pisarzy ZSRR: „Raz jeszcze z całą wyrazistością wypowiedziano na zjeździe myśl, że dla pisarzy radzieckich nie ma i nie może być tematów „tabu”. Równocześnie w przemówieniach podkreślano myśl o szczytnej, obywatelskiej odpowiedzialności pisarzy przed partią i narodem. Przedstawiając najbardziej ostre konflikty i sytuacje twórcy nie może uchylić się od określenia ich rzeczywistego wymiaru, ich realnego miejsca w życiu społecznym.

W roku 1966 narodziło się w Czechosłowacji o 29 tysięcy dzieci mniej niż w roku 1964, chociaż liczba młodych kobiet wzrosła o 70 tysięcy. Gdyby w przyszłości stan urodzeń utrzymywał się na poziomie 1966 — pisze „Młoda Fronta” — to za 30 lat dojdzie do takiego ubytku ludności, że będzie można mówić o wymieraniu.

Agencja Tanjug donosi z Brazylii, iż toczą się tam obecnie rozmowy na temat stworzenia szerokiego frontu opozycyjnego, na czele którego stanęłoby trzech b. prezydentów tego kraju: Kubitehek, Goulart, Quadros. Celem tego frontu jest redemokratyzacja kraju.

Od 1 czerwca br. czechosłowacka „PKO” wprowadziła zakrojony na szeroką skalę system pożyczek dla słuchaczy szkół wyższych. Pożyczki mogą być udzielane poczynając od trzeciego roku studiów tym, którzy uzyskali bardzo dobry wynik na drugim roku. Pożyczki można spłacać po skończeniu studiów. Najpóźniejszy termin rozpoczęcia spłat jest 2-letni.

Minister obrony NRF Gerhard Schroeder: „Nie może być absolutnie mowy o tym, aby Bundeswehra zrezygnowała ze swego potencjału przenośników atomowych”.

Organ FDP — Freie Demokratische Korrespondenz: „Podczas gdy na całym świecie politycy usiłują stłumić w ostatniej chwili plomienie,

które zaczynają się wydobywać z ogniska kryzysu na Bliskim Wschodzie, właśnie w takim momencie Schroeder występuje z rozszereżeniami atomowymi w innym, niebezpiecznym, kryzysowym punkcie świata, a mianowicie w Niemczech”.

Harrison Salisbury, zastępca redaktora naczelnego „New York Times”: „W miarę intensyfikacji wojny w Wietnamie ryzyko interwencji chińskiej rośnie w postępie geometrycznym.

W zakładach pracy CSRS wprowadzono już od drugą sobotę wolną od pracy. W poszczególnych sektorach gospodarki, zwłaszcza tam, gdzie panują ciężkie warunki pracy, wprowadza się obecnie 5-dniowy tydzień pra-

nej: Przed wszystkimi narodami stał się następujący problem: albo kapitulacja przed imperializmem, albo stawianie mu oporu i walka z nim. Opór i walka mieszczą w sobie ryzyko, kapitulacja — oznacza właśnie nie innego, jak po prostu kapitulację. Strach przed szantażem nuklearnym prowadzi do nieubłaganego do poddania się bez oporu i bez walki. W ten sposób klamstwo o rzekomej gotowości imperialistów do samobójstwa, staje się dla imperialistów bronią znacznie skuteczniejszą niż cały ich arsenał nuklearny.

Agencje zachodnie donoszą, że władze chińskie aresztowały ostatnio 2500 urzędników, uczonych i intelektualistów. Oskarża się ich o wroga działalność i powiązania z Liu Szao-tsi — przewodniczącym republiki.

W Pekinie odbył się wiec w związku z 47 rocznicą powstania Komunistycznej Partii Indonezji. Na wiecu zabrał głos członek delegacji KC KPI Supeno. Oświadczył on, że partia indonezyjska uzbrojona w myśli Mao Tse-tunga przystąpi do wojny ludowej, powoła armię robotniczo-chłopską i poprzec odseparowanie miast od rejonów wiejskich przejmie z powrotem władzę w kraju.

„New York Herald Tribune” w artykule „Wiosna niezadowolonia w Ameryce” pisze: „Trudno uniknąć wrażenia, że wzmagają się działania ujemnych sił w społeczeństwie amerykańskim, antagonizm rasowy, brak zaufania do rządu, zaślepionej frustracji w stosunkach z innymi krajami, z innymi ludźmi... Każdy urzędnik publiczny, który próbuje stawiać czoła podskornemu nurtowi cynizmu w Ameryce, słyka się z nastrojem antagonizmu, który niczego prawie nie rozróżnia. Sprawowanie dziś urzędu, zwłaszcza zajmowanie odpowiedzialnego stanowiska staje się równoznaczne z zaprzeczaniem



— A końca wojny wciąż nie widać! (Washington Post)

cy, który od roku 1970 objął ma wszystkich zatrudnionych.

Nowa ankieta Harris w sprawie stosunku opinii publicznej USA do śledztwa komisji Warren wskazuje, że o ile w 1964 roku aż 68 proc. ankieterów uznało, że Oswald był jedynym zabójcą prezydenta Kennedy'ego i działał samotnie, o tyle we wrześniu 1968 r. liczba ta spadła do 46 proc., w lutym br. do 44 proc., a w maju do 34 proc.

Minister spraw zagranicznych ChRL Czen I przyjął przedstawicieli dyplomatycznych krajów arabskich, wyrażając im poparcie dla walki przeciwko amerykańskiemu imperializmowi i agresji Izraela. Czen I powiedział: „Walka krajów arabskich przeciwko amerykańsko-brytyjskiemu imperializmowi i Izraelowi jest walką na śmierć i życie. W tej walce nie może być kompromisów. Wicepremier Czen I dodał, że obecna sytuacja świata jest wspaniała i całkowicie sprzyja walkom narodów arabskich.

Na pięciu obywateli NRD przypadła w ub. roku 1 samochód lub motocykl.

Z deklaracji KC Kuhańskiej Partii Komunistycznej

albo własnych celów do jakich się zmierza, albo reputacji, jaką się posiada.

W liście skierowanym do komisji wojskowej KC KPCh minister obrony ChRL Lin Piao podkreślił, że w ciągu 16-letniej walki klasowej w Chinach problemy literatury i sztuki nie zostały dotychczas rozwiązane, i że w dziedzinach tych proletariariat powinien zająć dominującą pozycję po to, by zażegnać niebezpieczeństwo opanowania partii przez burżuazję i rewizjonistów. W tym celu należy rewolucję kulturalną kontynuować do końca.

Zywa reakcja w świecie wzbudził fakt ataku samolotów amerykańskich na radziecki statek „Turkmenia” w rejonie wod terytorialnych Wietnamskiej Republiki Demokratycznej. Francuski dziennik „Combat” stwierdza, że oświadczenie Pentagonu sugerujące, iż należy dopiero zbadać, czy winowajcą nalotu jest samolot USA, stanowi przejaw „czelności” ze strony kraju, którego lotnictwo zrzuca każdego dnia na Wietnam Północny tyle bomb, co w okresie najgorszych dni drugiej wojny światowej. Wkrótce Pentagon zechce — być może — powiedzieć nam, że Rosjanie zorganizowali na siebie naloty...“.

Z tygodnia na tydzień

Wielkie widowisko plenerowe „BALLADA PARTYZANCKA”, które odbyło się na Zdrowiu w ramach obchodów dwudziestej piątej rocznicy powstania PPR, spotkało się z gorącym aplauzem ponad stu tysięcy widzów.

Zwrócił się do jednego z współtwórców tego spektaklu, red. Tadeusza Szewera, z prośbą o krótką rozmowę na temat przygotowań do wystawienia „Ballady partyzanckiej”.

* * *

ODGŁOSY: Jak zrodził się pomysł scenariusza Ballady?

T. SZEWEA: Rok temu odsłonięto w Polichnie pomnik dla upamiętnienia partyzanckiego czynu zbrojnego. Dopiełnięciem tych uroczystości miał być artystyczny obraz ukazujący walkę narodu polskiego z hitlerowskim okupantem w latach 1939-1945. Właśnie tutaj, w lasach Polichna walczyli w roku 1942 słynny oddział Gwardii Ludowej im. Hetmana Stefana Czarnieckiego pod dowództwem Małego Franka. Tutaj też, w nierównej walce z okupantem, padli pierwsi partyzanci tego oddziału.

Zaproponowano nam napisanie scenariusza wielkiego widowiska plenerowego na polach Polichna, które nawiązywałoby do tych czasów. Pojechalismy tam w czwórce: Władysław Orłowski, Marek Wawrzkiwicz, ja i Roman Sykała, który widowiec miał reżyserować. I tutaj właśnie zrodził się pomysł napisania scenariusza „Ballady partyzanckiej”. Miała to być opowieść starego partyzanta, który przekazuje swe wspomnienia wnucce.

ODGŁOSY: Jak powstała plastyczna wizja widowiska?

T. SZEWEA: „Ballada partyzancka” była już naszym drugim widowiskiem. Pierwsze — to spektakl „Idąc Tysiąceciem”, wystawiony w Łodzi na pl. Dąbrowskiego. Przeróbka „Ballady” z Polichna na „Balladę partyzancką”, wystawioną ostatnio w Łodzi, jest już naszą trzecią wspólną pracą. Wizja plastyczna widowiska była po części reminiscencją na tych wspomnień i przeżytych czasów walki z okupantem. Orłowski jest dramaturgiem i brał udział w powstaniu warszawskim, Wawrzkiwicz jest poetą, ja byłem partyzantem w oddziale „Jędrusiów” na Kielecczyźnie i zrobiłem wiele montażu radiowych z czasów walk partyzanckich w latach 1939-1945.

Gdy już nakreśliłmy artystyczny i plastyczny szkic widowiska, sięgnęliśmy z kolei do materiałów źródłowych. Węd do „Antologii polskiej poezji podziemnej” Jana Szczęsiewicza, „Satyry w latach okupacji” Grzegorza Załęskiego, do „Barw walki” Mieczysława Moczarskiego, następnie do materiałów historycznych w Referatach Historii Partii KŁ i KW i wreszcie do własnych zbiorów. Napisanie scenariusza trwało miesiąc. Poszczególne obrazy spektaklu wyłaniały się z drobiazgowych dyskusji z reżyserem Romanem Sykałą. Sykała znakomicie operuje dużym zespołem aktorów i statystów, co w spektaklu plenerowym ma zasadnicze znaczenie. Ponadto umie on znaleźć właściwy wyraz artystyczny dla scen proponowanych przez autorów. Scenografię doskonale uzupełnił Jerzy Groszang, zarówno w Polichnie, jak i w Łodzi. (W. S.)



ŻYCIE DLA LUDZI

Koledzy, przyjaciele stwierdzają krótko: Żył wśród ludzi i dla ludzi. Każdy z nich ujmuje to w inne słowa, ale sens ich jest właśnie ten, taki a nie inny.

Tadeusz Głabski zmarł nagle, zmarł nieoczekiwanie śmiercią człowieka czynu, który nie ma czasu, aby chorować, chociaż zdrowie jego było mocno nadzarpięte. Tylko raz przyjechał do rodziny, udało się go nakłonić do leczenia szpitalnego. Przechodził wtedy zakaźną żółtaczkę. Ale ledwie lekarze zezwolili na odwiedzinę najbliższych pacjentowi sprzykrzyła się ta bezczynność. Prosił, nalegał, aby mu koło łóżka zainstalowano telefon. I jeszcze wyczerpany chorobą, ledwie powracający do zdrowia, kierował powierzonym mu oddziałem z odległości pamiętając o wszystkich sprawach, których załatwienie przerwała mu choroba. „W tym szpitalu założył istny sztab” — wspomina bliski współpracownik. „I nie było na to rady, po prostu nie potrafił żyć bez pracy. Praca była jego żywiołem”.

W Komitecie Łódzkim PZPR znany był ze swej pracowitości, dokładności, z woli działania. Najbliższych współpracowników wprost zadziwiał, skąd w tym schorowanym ciele bierze się tyle energii, tyle pasji. Próbowali go oświeżać, ale te próby przyjaciół irytowały go tylko. W kompetencji jego leżały między innymi sprawy mieszkaniowe, co dzień poczta przynosiła ogromny stos korespondencji z zaklecanymi, błaganiami, z prośbą o pomoc. W tych trudnych sprawach nie lubił się nikim wyrażać. Wsiadał do samochodu i jeździł po Łodzi od mieszkania do mieszkania, wdrapywał się na piętra, wysłuchiwał petentów, choć każda taka wyprawa pogarszała jeszcze stan jego serca. Starał się to ukryć przed kolegami, ale wiedzieli i tak jak poważnie zagrożone jest jego zdrowie. Wystarczyło, że przez chwilę nie było windy, a już nie

czekając piął się na piętro i potem musiał odpoczywać w pół drogi, bo ten wysiłek zapierał mu oddech. Zatrzymywał się wtedy i udawał, że zainteresował go widok za oknem. A kiedy już nieco odpoczął, podejmował na nowo wysiłek.

Właściwie całe jego życie było taką wspinaczką i Głabski ogromnemu hartowi ducha zawdzięcza to, że nie stanął, nie zawrócił. Jego siły fizyczne zawsze były wiatre. Jako chłopiec, uczeń szkoły podstawowej nr 6 na Karolewie, rzadko uczestniczył w beztrojskich zabawach rówieśników. Co innego mu imponowało. „Był bardzo odczytany, wiecznie chodził z książkami. Bez książki to siedział chyba tylko do kina” — wspomina jego kolega z lat szkolnych, a potem towarzysz walki i pracy.

Dojrzałość osiągnął w trudnych, ciężkich latach kryzysów. Ojciec Tadeusza Głabskiego był lewicowcem, lewicowość to była tradycja rodziny. Poszedł w ślady ojca, w roku 1931 wstąpił do KZMP. Pracował wtedy jako dziesięciarz i wiedział czym jest walka klas, strajki, lokauty już nie tylko z literatury. Przyszło mu tę wiedzę jeszcze bardziej wzbogacić. Kiedy został aresztowany, po jednej z masówek robotniczych, której był współorganizatorem i skazany na 7 miesięcy więzienia, tam właśnie w Łęczycy uzupełniał swoją wiedzę polityczną i ogólną, aby wyrosnąć na ofiarne, rozumne działacza partii. Do KPP wstąpił w roku 1934.

Wybierał swój los świadomie. Był znany jako działacz lewicy, toteż bramy fabryk zatrzaśkiwały się przed nim, długo chodził bezrobotny. Założył już wtedy własną rodzinę, mieszkał w robotniczym drewnianym na Karolewie, w domu nie przelewało się. W tym czasie dom ten zresztą często nawiedzali policjanci. „Panie Głabski, powiadali, ma pan żonę. Po co panu ten cały ruch, za który grozi więzienie”. Tadeusz Głabski był wtedy aktywnym działaczem jednolitego frontu ludowego, był kierownikiem na niektórych odcinkach strajków. Miał posłuch zarówno u towarzyszy z organizacji jak i bezpartyjnych, uchodził za jednego z wzorowych ludzi.

Potem przyszła decyzja o rozwiązaniu KPP, przeżył ją szczególnie boleśnie. Nie potrafił wyobrazić sobie życia bez partii, bez walki, bez jasno wytkniętych celów.

We wrześniu 1939 jak tysiące innych pędził na pomoc walczącej Warszawie. Potem wrócił do Łodzi. W pierwszych tygodniach okupacji odnawiał kontakty z dawnymi towarzyszami, rodzina się myślała o Niemciami. W 1940 założył komitety sabotażowe w zakładach pracy i był współorganizatorem Komitetu Sabotażowego, który miał koordynować działalność tamtych. Chodziło o paraliżowanie gospodarki okupanta, o pozabawienie frontu niezbędnych dostaw. Ludzie z komitetów sabotażowych spalił piasek do motorów napędzających maszyny, niszczyli surowce, przecinali pasy transmisyjne, podkładali ogień pod magazyny przemysłowe, pod niemieckie stogi ze zbożem.

W roku 1941 Tadeusz Głabski jest czynnym działaczem Frontu Walki za Naszą i Waszą Wolność, jednej z tych postępowych organizacji politycznych, które poprzedziły powstanie Polskiej Partii Robotniczej. Cieszył się poważnym autorytetem. Jego słowa były zawsze języczkiem u wagi przy podejmowaniu naj-

ważniejszych decyzji. Członkowie Frontu zbierali się na polu retkińskim, rzadziej w prywatnych mieszkaniach. Organizacja rozwijała się, przybierała na sile i znaczeniu akcje sabotażowe. Front wypracował sobie własną taktykę walki. Potem przyszła do Łodzi wiadomość, że powstała Partia. Zrazu nikt nie chciał dać wiary. Jako łącznika Front wysłał do Warszawy Czesława Szymańskiego, aby nawiązał kontakty. Wiadomość potwierdziła się, partia nazywała się PPR. W maju 1942 PPR rozpoczęła działalność w Łodzi. W skład organizacji weszli członkowie Frontu. Tadeusz Głabski został sekretarzem dzelnicy Śródmieście-Prawa, był także gwardzistą, współorganizatorem oddziałów Gwardii Ludowej na terenie Łodzi. W jego mieszkaniu znajdowała się nielegalna prasa, broszury, często sam zajmował się kolportażem. Był w tajemniczo w wiele akcji przeciw Niemcom przygotowywanych przez gwardzistów. W kwietniu 1943 roku nastąpiły aresztowania członków PPR. Wkrótce nastąpiła nowa seria aresztowań, organizacja łódzka znajdowała się w niebezpieczeństwie. Kiedy Niemcy schwylił jego bliźkiego kolega, Głabski obawiając się wyspy wywędrował do Warszawy. Gdy bezpośrednio niebezpieczeństwo minęło, otrzymał zadanie powrotu do Łodzi. Było to już jesienią 1943 r. Powrót nastąpił w bardzo niebezpiecznym momencie. Kiedy zaszedł do stolarni prowadzonej przez towarzysza, z którym był umówiony, czekali już tam Niemcy, którzy akurat przeprowadzali obławę. Głabski został wywieziony do obozów koncentracyjnych w Mauthausen, Buchenwaldzie i Dachau. Ale nawet tam nie rezygnuje z walki, organizuje obozowy ruch oporu, zakłada organizację PPR.

Po powrocie do kraju natychmiast, jak zawsze aktywnie, włącza się do organizowania nowej rzeczywistości społecznej, podejmuje pracę w Komitecie Łódzkim PPR przy ul. Wólczańskiej. Potem towarzysze powierzyli mu wydział kadr w Komitecie Wojewódzkim. Nie myślał o karierze, Odrzucił intratne propozycje wyjazdu do Warszawy, nie opuścił Retkini, w której się urodził i wychował. Z drewnianego domku wyprowadzono go podstępem, kiedy był na urlopie, bo inaczej by się na to nie zgodził. Zamieszkał w małym mieszkanku na Karolewie, z żoną i córką.

Przyrodzona skromność, która cechowała zawsze jego postawę, sprawdziła się na nowym, wysokim przecież stanowisku. Był także członkiem Komitetu Centralnego PZPR. Nie opuścił swego Karolewa, nie zamienił mieszkania na lepsze, większe, wygodniejsze. Kiedy w gabinecie chciano mu wstawić nowe biurko czy szafę, ostro protestował. Wprost nienawidził ludzi, którzy mu czapkowali. Był bardzo naturalny i chciał, żeby go tak samo traktowali.

Nie lubił oficjalnych, pompacyjnych posiedzeń ani rozgłosu. Dobrze go z tej strony poznali dziennikarze. Kiedy robiono zdjęcia dla prasy, chował się zawsze za plecy towarzyszy, nie lubił się afiszować.

Na uroczystościach pogrzebowych Ignacy Loga-Sowiński powiedział: „Życie towarzysza Głabskiego wejście na trwałe do bojowych tradycji partii i łódzkiej klasy robotniczej, jako wzór postawy komunisty, który stawał zawsze dobro partii, jej ideały i cele na naczelnym miejscu i służył tym ideałom poświęcił całe swe twarde, a jakże piękne życie”.

JERZY DARNAL

Nożycami przez PRASĘ

DOLCE VITA?

Jerzy Urban w „Zyciu Gospodarczym” zachwala „uroki kredytu” czyli „życia na raty”. Rozpatruje sprawę z różnych punktów widzenia, zachęca, by konsekwentnie i wszechstronnie rozwijać system ratalny.

A dalej: Z punktu widzenia interesów finansowych państwa zaangażowanie się w kupno ratalne gorzej nad gromadzeniem oszczędności w PKO, gdyż przyszłe zaangażowanie składanych tam pieniędzy przez ich właścicieli jest niewiadomą.

Sprzedają ratalną zwiększa siłę nabywczą społeczeństwa, pozwalając szybciej, niż to wynika ze skali wzrostu zarobków zaspokajać potrzeby i to wyższego, niż np. żywnościowa rzedu, bo potrzeby, które są znakiem cywilizacyjnego postępu w sposobie życia.

Ma także na uwadze wstępujących w samodzielne życie: Rozwinięcie praktyki kredytu-

wania konsumpcji sprzyjałoby również stabilizacji zatrudnienia, a także przyspieszało ogólnociową stabilizację młodzieży. Konieczność spłacania długów silnie wiąże z miejscem pracy, zaś możliwość zaciągania długów sprzyja przemysłanemu zakładaniu rodziny i zasiedzeniu.

Agitując, publicysta przypomina ograniczenia i wadliwości obecnego systemu. Raty są „głównie sposobem upłyniania towarów występujących w nadmiarze, nie znajdujących w całości gotówkowego zbytu”. Szybko rozbudowany system ratalny to zwiększenie możliwości sterowania przez państwo strukturą rynku. A nawet:

Rozwinięty system kredytowy dawałby możliwość umasowienia produkcji, to znaczy sprzyjałby jej wielkoseryjności, co prowadzi do unowocześnienia metod wytwarzania, tanienia produkcji, spadku cen, wzrostu zatrudnienia ergo dochodów społeczeństwa.

Bardzo możliwe, że wypowiedź jest zbyt optymistyczna. Ale

pod samym postulowaniem konsekwencji w rozwijaniu sprzedaży ratalnej należy się podzielić.

ZROZUMIAŁE ZNIECIERPLIWIEŃ

Okazuje się, że Polskie Radio, zapewne pod wrażeniem ostatnich procesów, ogłosiło coś w rodzaju ankiety. Wzywa i apeluje, by słuchacze, którzy „chcą się przeciwstawić chamstwu i bandytyzmowi”, zgłaszali propozycje ich zwalczania.

Naszim skromnym zdaniem, jeśli to już ma być ankietą, to niech będzie zamknięta, ograniczona do kręgu ludzi, którzy do tej walki z urzędem są powołani i dysponują konkretnymi możliwościami.

Nie więc dziwnego, że w „Polityce” ironicznie potraktował nową akcję Polskiego Radia Michał Radgowski. Felietonista „Polityki” kończy swoje dywagacje w sposób zdecydowany.

Pozostają propozycje zgola ba nalne: szybka i technicznie sprawna interwencja milicji, surowa kara bez oglądania się na „pozytywne opinie”, stworzenie sznury przywołanego wyższością dla młodych ludzi, dopinowanie ich, by nie spali w pracy po nocnych eskapadach; więcej porządku na ulicy, w kinie, parku, mniej pijackich melin i kiosków z piwem. Wszystko to są rzeczy proste, dawno odkryte, powszechnie znane — wla-

dzom i społeczeństwu. I nie trzeba nikogo pytać o zdanie, wystarczy więcej energii i konsekwencji. Faza dyskusji się skończyła. Armia Zbawienia nie ma tu nic do gadania.

Z WAD FELIETONISTÓW

Felietoniści, w odróżnieniu od publicystów, mają prawo do bez porównania większego subiektywizmu, do przesady i karykatury. Zwołnieni są na ogół od przytaczania dokumentacji. Ale chyba tylko do pewnego stopnia. I ze względu na specyfikę felietonu, nad którą tutaj nie będziemy się zastanawiać.

Znany z lamów „Kultury” staruszek Hamilton niewątpliwie nadużył praw gatunku w ostatnim numerze swojego pisma.

Gwałtownie wystąpił przeciwko kiermaszom książkowym. Ze kiermaszami nabywcy nie są regularnymi czytelnikami. Ze to raczej snobi lub hobbysci. Ze im wszystko jedno, co kupują. Ze... ze... I pisze:

Mam znajomego, ma on obszar na bibliotekę, w tej bibliotece książki są czystszy jak bielina świeżo przyniesiona z wami, że ich nie czyta, a są tam książki, które sprzedawano pralni, niektóre nie rozcięte; spod lady, sporo z tych książek kupił na kiermaszu

Jeden znajomy czeladnego (choćby ze względu na wiek) Hamiltona, to nie powód do uogólnienia. Lepiej byłoby zapytać o zdanie księgarzy, odpowiedzialnych za organizowanie kiermaszów. Opowiedzieliby o trudnościach, o wielkim i denerwującym wysiłku, ale i o obrotach. W tym wypadku ścisłymi danymi liczbowymi. Opowiedzieliby może o kiermaszu w Puławach, przedstawionym przez TV. Na pewno do owej imprezy w Puławach grubo dopłacono, choćby jednak o zaatakowanie potencjalnych odbiorców książki z młodego ośrodka przemysłowego.

Za to co do Kazimierza Ilakowiczówny, mieszkającej w Poznaniu i zaatakowanej w poznańskim miesięczniku „Nurt”, który jej ważnemu dorobkowi odmówił niemal wszelkiej wartości, obrażenie Hamiltona budzi solidarność. I nasuwa jeszcze jedną uwagę o chuliganstwie. W tej dziedzinie również dążyć do mówić o „chuliganstwie wycynowym” i o „chuliganstwie moralnym”, aczkolwiek tego drugiego nie da się jednoznacznie sklasyfikować.

POLACY I NIEMCY

W listach do „Kultury” zainteresował nas list łódzianki, która na marginesie spraw polsko-niemieckich przypomina:

Najwyższa pora, aby oddać sprawiedliwość, a nawet silniej wyrażając się — częściej tym wszy

skim Niemcom, obywatelom polskim pochodzenia niemieckiego, którzy niemal od początku okupacji, na długo przed stalinogradzką kleską hitlerowców włączyli się do polskiego ruchu oporu.

Jako rodowita łódzianka, która okupację hitlerowską przeżyła w tym mieście, znam mnóstwo wypadków prawdziwego, cichego bohaterstwa, nie nagrodzonego do dziś, aktów odwagi i lojalności.

W łódzkim społeczeństwie, w tym ciekawym mieście, kompleksość pogranicza, pracowitość i postępowość, na porządku dnia były mieszane obustronnie związki polsko-niemieckie, uznawane i cenione.

Autorka ma rację, choć dla porządku trzeba zauważyć, iż te sprawy znajdują swoje odbicie w druku. Może w formie ogólnikowej, ale jednak. Wystarczy powołać się na obiektywną i rzeczową pracę M. Cygańskiego: „Mniejszość niemiecka w Polsce w latach 1918-1939”, wydaną akurat przez Wydawn. Łódzkie, gdyż właśnie łódzki okręg przemysłowy „był najpoważniejszym ośrodkiem życia niemieckiego Polski centralnej”.

Już w „Liście strat kultury polskiej” (Wyd. S. Arcta, Warszawa 1947) znajdujemy również takie oto nazwiska: bestialsko zamordowanych: ks. pastor Edmund Bursche, Robert Geyer, łódzki przemysłowiec... i w. in.

JAN OLECHNO

Karta z dziejów francusko-polskiego braterstwa broni

Próżno zabiegali powstańcy rzydenci o pomoc na dworach europejskich, nie otrzymując nie zgola poza wyrazami ubolewania i współczucia dla dzielnego narodu, który porwał się na nierówną walkę z potęgą imperium rosyjskiego. Podziwiano odwagę i odwagę walczących, oburzano się na okrucieństwo wojsk carskich, ale za pięknym słowem kryła się obojętność dla sprawy polskiej.

Powstańcy nie słów przecież oczekiwali lecz czynu, roili so bie miraż wkraczających do Polski połączonych sił angielsko-francuskich, wierzyli w odrodzenie napoleońskich tradycji, obiecywali wiele po ce sarzu Napoleonie III, który reklamował się swą rzekomą sympatią dla Polski. I tak przez dwa długie powstańcze lata ludzono się nadzieją, że Europa przyjdzie wreszcie z pomocą udręczonej niewola Polsce.

A jednak znalazła się garst ka szaleńców, awanturników szlachetnych, którzy wbrew intencjom swych arcylojalnych wobec zaborców rządów, przekraczali granice, by wziąć udział w polskim powstaniu. Przedstawiciele wszystkich nie mał narodów europejskich zaciągali się pod powstańcze sztandary i mężnie stawali do walki w imię wolności ludów. Wraz z nimi przybywali korespondenci pism zagranicznych i żadni dramatycznych przeżyć turysty.

Najliczniejszą była grupa o chotników włoskich, którzy pod wodzą Francusko Nullo przeszli granicę Królestwa. Właściwie przekradali się oni małymi, dziesięcioosobowymi oddziałkami, przy pomocy fałszywych dokumentów i ofiarności przewodników. Były prę dziej chwycić za broń i przelać swą krew dla dobra nieznanego im północnej krainy. Szli do boju tak samo mężnie, jak przed laty, gdy pod sztandarami Garibaldiego wypędzali Austriaków z Lombardii. Nie liczn tylko wrócili do ojczyzny, reszta padła na placu boju lub powędrowała na długie lata zesłania. 5 maja 1863 roku padł w bitwie pod Krzyżawką dowódca oddziału, A Rosjanin, książę Szachowski, z podziwem zawołał: „Włochy! Cóż to za kraj bohaterów i szaleńców!”.

Równocześnie od strony

Wielkopolski przedzierali się na ziemie Królestwa zbrojne oddziały, których przywódcy posługiwali się dźwięcznym francuskim językiem. Obok zwykłych poszukiwaczy przygód, szli do boju spadkobiercy hasel rewolucyjnej Francji, widzący szczęście swej ojczyzny w powstaniu wolnej i niepodległej Polski. Naoczny świadek tamtych zdarzeń, krytycznie zreszta oceniający udział ochotników francuskich w powstaniu styczniowym, w pamiętniku skreślonym po latach, tak wspomina cudzoziemców: „Czynili oni wrażenie blagierów, których awanturizm czy żylka popchnęła do Polski — lub być może nawet na dzieja obwołania się stała się przyczyną ich postanowienia. Jakoż w istocie, z tych Francuzów, którzy wzięli udział w powstaniu, jeden tylko Young zasługiwał na nazwę człowieka dzielnego i człowieka honoru, który to swoje za lety śmiercia walczących na polu bitwy stwierdził”.

Szlachetną postać tego wiaś nie Francuza chciałbym przypomnieć czytelnikom, bo widomy to przykład francusko-polskiego braterstwa broni w okresie powstania styczniowego, miłości do Polski tym serdeczniejszej, że poświęcone złozeniem ofiary z własnego życia.

Młody Francuz, Leon Young de Blankenheim, był jakoby dzieckiem i spadkobiercą starej hrabowskiej rodziny, spokrewnionej ponoć z najbar dziej arystokratycznymi rodami Francji, choć wydaje się, że mit o jego pochodzeniu został urobiony przez niektórych pamiętnikarzy. W kraju służył wojskowo, ale osiągnął zaledwie stopień sergenta majora, czyli starszego sierżanta, czego nie mogli być dumni więcej jego późniejsi polscy podwładni, często oficerowie armii pruskiej.

Na wieść o wybuchu powstania w Polsce rzucił wszystko i po wzięciu dymisji z wojska zebrał garść towarzyszy i ruszył z nimi na wschód. Z nieważnym trudem przewyciężyli młodzi ochotnicy piętujące się przed nimi przeszkody. Dzięki rozlicznym fortelom uszli policji niemieckiej, upoważnionej do zatrzymywania osobników podejrzanych o chęć zaciągnięcia się do szeregów powstańczych.

Przybyli szczęśliwie do Wielkopolski, gdzie właśnie tworzyły się pod patronatem pułkownika Taczanowskiego oddziały mające wesprzeć powstańców. Przybywszy zostali przyjęci serdecznie przez młode szkańców Poznania, bo łatwo wierni poznaniacy wierzyli jeszcze w nadejście wielkiej armii francuskiej, która zerwie pęta niewoli. W czasie krótkiego odpoczynku młody Leon udał się na ul. Wilhelmowska 25, do zakładu fotograficznego A. i F. Zeuschnera, aby zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie z Polski. Możliwe dla matki, może dla ukochanej... Na pozótkym kartoniku

stanowily siwe mazurskie czapki, ozdobione biało-amarantową kokardą i piórem. Kawalerzyści uzbrojeni byli w lance z dwubarwnymi chorągiewkami, strzeżeni dzierżyli sztucery i skałkowe karabiny, na resztę oddziału składali się kosynierzy.

Po wyjściu z lasów Young otrzymał alarmującą wieść, że oddział wojska rosyjskiego pod wodzą majora Nelidowa nadciąga z zamiarem wyparcia powstańców do Wielkopolski. Francuz, nie zastanawiając się długo, ruszył na spotkanie przeciwnika. Do starcia doszło 26 kwietnia 1863 r. pod Nową Wsią. Po krótkiej wal-

ce wstańczych. Na domiar złego nie zjawiał się na placu boju oddalony o kilka kilometrów dowódcą bratniego oddziału Seyfried, nie nadciągał z pomocą Taczanowski. Los bitwy został przesadzony. Próżno bo haterski wódz biegł z kosą w dłoni na pozycje rosyjskie. Ogień kartaczowy był zbyt silny, zagłuszał komendy dowódcy: „toujours en avant!” Topniał szereg wiernych żołnierzy. Nagle dzielny dowódca zachwiał się i z okrzykiem: „Niech żyje Francja!” — padł na ziemię. Po chwili zastrzelono jego zastępcę, byłego emigranta, Aleksandra Wasilewskiego. Niedobitki tylko ocalały z pogromu i znalazły schronienie w stajonach jacych w pobliżu oddziałów powstańczych.

Po odniesieniu zwycięstwa rozszczęczeni żołdacy przystąpili do bezprzykładnej rzezi. W jednym z leżących na pobojowisku powstańców rozpoznano dowódcę partii. Stwierdzono, że żył, tylko krwawił obficie z odniesionej rany. Rozpoczęły się tortury, zakończone morderstwem bezbronnego jeńca. Po odstąpieniu Rosjan, mieszkańcy okolicznych wiosek ruszyli na pobojowisko, aby zapewnić poległym pogrzeb. Znaleziono również sponiewierane ciało Younga, 34 razy przebite bagnem. Świadkowie opowiadali potem, że oprawcy obelżyli nieszczęśliwemu palec dla zdjęcia kosztownych pierścieni.

Przez kilka dni ciało męznego Francuza ukrywano w stodole, w obawie przed śladowaniem ze strony władz carskich, wreszcie 5 maja 1863 r. pochowano je skrycie w Brdowie. Krakowski „Czas” stwierdził, że Young de Blankenheim swoim bohaterstkiem zgonem zapisał się złotymi góskami w poczet najlepszych synów swojej przybranej ojczyzny.

A w jakimś czasie później lirnik mazowiecki, Teofil Lenartowicz, napisał w pięknym wierszu „Young Blankenheim” tchnące liryzmem i romantycznym patosem znamiennie słowa:

Zamilkły wrzaski i zacięły strzały,

Dzień strasznej walki w ciemną wieczność spłynął,

Kiedyś w tym miesiącu stanie pomnik chwasty

Dla syna Francji, co za Polskę zginął.

Francuz i Polak na tym meza grobie

Wiecznej przyjaźni dłoń podadzą sobie.

Mało kto dziś wspomina czy ny bohatera Francuza i jego ziomków, którzy za sprawę polską krew swą przelali, albo jak Henri Soudais czy Georges Ganier d'Abin poległi na polu chwały. A wari są serdecznego wspomnienia ci synowie obcego narodu, wierni swej przybranej matce — Polsce — do śmierci.



Young de Blankenheim

starej fotografii widzimy młodego mężczyznę o kręconych włosach i jasnym spojrzeniu, z charakterystyczną czapką żuwawę danina. Zginęło kilkudziesięciu ludzi, między innymi kapitanowie Nikodem Mariański i Piotr Solnicki oraz syn znanego filozofa i poety, Karola Libelta, Karol. Wielka odwaga na placu boju odznaczył się oficer niemiecki, walczący po stronie powstańców, baron Theodor von Seydewitz, podobno spokrewniony z królewską rodziną pruska.

Radość z powodu odniesionego zwycięstwa nie trwała długo. W dwa dni później powstańcy dowiedzieli się, że na wieść o porażce rozbroił oddział wojska, dowodzony przez gen. Kostandy. Partia Younga spotkała się z przeważającą siłą nieprzyjaciela 29 kwietnia 1863 r. pod Brdowem w powiecie kolskim. Początkowo losy bitwy przechylały się na korzyść powstańców. Walczyli oni bohatercko i zadali wrogowi olbrzymie straty. Nagle zagrzmiął ryk armat. To artyleria rosyjska, dotychczas milcząca, odezwała się, czyniąc spustoszenie w szeregach po-

Wkrótce zaofiarowano Young głębi komendę nad oddziałem, leżącym około tysiąca ochotników. W marszu miał współdziałać ściśle z partiami Seyfrieda i Taczanowskiego. Niebawem powstańcy przekroczyli granicę Królestwa z zadaniem posuwania się w kierunku Kola. Partia Younga, w większości składająca się z ochotników z okolic Łęczycy, umundurowana była jednolicie w szaraczkowe czamary i spodnie. Uzupełnienie stroju

nieprzyjaciela został pokonany i zmuszony do ucieczki na terytorium Prus. Światło zwycięstwa zostało okupione krwawą daniną. Zginęło kilkudziesięciu ludzi, między innymi kapitanowie Nikodem Mariański i Piotr Solnicki oraz syn znanego filozofa i poety, Karola Libelta, Karol. Wielka odwaga na placu boju odznaczył się oficer niemiecki, walczący po stronie powstańców, baron Theodor von Seydewitz, podobno spokrewniony z królewską rodziną pruska.

Radość z powodu odniesionego zwycięstwa nie trwała długo. W dwa dni później powstańcy dowiedzieli się, że na wieść o porażce rozbroił oddział wojska, dowodzony przez gen. Kostandy. Partia Younga spotkała się z przeważającą siłą nieprzyjaciela 29 kwietnia 1863 r. pod Brdowem w powiecie kolskim. Początkowo losy bitwy przechylały się na korzyść powstańców. Walczyli oni bohatercko i zadali wrogowi olbrzymie straty. Nagle zagrzmiął ryk armat. To artyleria rosyjska, dotychczas milcząca, odezwała się, czyniąc spustoszenie w szeregach po-

DROGI CZYTELNIKU! Redakcja prosi Cię o wyrażenie opinii o „ODGŁOSACH”.

W naszej ankiecie zaznacz znakem plus (+) działy, które Cię interesują i które uważasz za dobrze redagowane. Znakem minus (-) zaznacz te działy, które oceniasz negatywnie.

Prosimy Cię również o inne uwagi o naszym piśmie.

Każda nadesłana ankieta weźmie udział w comiesięcznym losowaniu cennych nagród książkowych, a redakcji pomoże w lepszym zrozumieniu potrzeb czytelników Łodzi i regionu łódzkiego.

Wypełnione ankiety prosimy nadsyłać do redakcji „Od-głosów”, na adres: Łódź, ul. Piotrkowska 96.

	+	-
rozмовы i wywiady		
sprawy międzynarodowe		
zagadnienia ekonomiczne		
problem obywatelowe		
reportaże		
opowiadania i fragmenty powieści		
poezja		
recenzje książkowe i teatralne		
film i TV		
teletony		

O czym jeszcze chciałbyś czytać w „Od-głosach”?

Nazwisko i imię : : : : : :

wiek : : : : : :

zawód : : : : : :

adres : : : : : :

BOLESŁAW LESMAN

Gastronomiczna karuzela

Sprawa jest żenująca przede wszystkim dla nas samych, dla tych, których przez dziesięć lat z górą okradano w sposób bezelzny i prymitywny zarazem.

Na straży naszych interesów — naszych tzn. społecznych — stoi prawo, wraz z całym swoim aparatem wykonawczym: sądami, prokuraturą, milicją, organami kontroli gospodarczej i administracyjnej, jak Najwyższa Izba Kontroli czy Państwowa Inspekcja Handlowa. A mimo to garstka prymitywnych oszustów, w części półanalfabeta, potrafiła przez długie lata ściągąć z nas codzienny haracz.

Na ławach oskarżonych zasiadło około pół setki byłych pracowników łódzkiej restauracji. Ze względu na rozmiary afery, dla ułatwienia procedury, podzielono oskarżonych na trzy grupy. Te trzy procesy jednak różnią się od siebie tylko nazwiskami oskarżonych i mało istotnymi szczegółami. Zarzuty są wszędzie te same.

Po ujawnieniu każdej takiej afery — a było ich po kilkadziesiąt każdego roku — PIH występował z odpowiednimi wnioskami dyscyplinarnymi i karnymi: do dyrekcji LZG-Restauracje, do prokuratury i do

sądu. W zależności od wagi i rozmiarów ujawnionych nadużyć, żądano udzielenia nagany, zwolnienia z pracy, czy wreszcie ukarania przez sąd. Wydawałoby się więc, że ta wieloletnia i żmudna praca PIH powinna w końcu doprowadzić do oczyszczenia kadr łódzkiej gastronomii z tzw. przypadkowych i nieuczciwych elementów, że rozmiary nadużyć powinny się zmniejszać z roku na rok. Tak jednak nie było.

Bufetowa przyłapaną na nadużyciach w „Rzgowskiej”, wędrowała „karnie” do „Słonia”. PIH żądał zwolnienia dyscyplinarnego z pracy, a jednocześnie skierował sprawę do sądu. Przed sądem bufetowa tłumaczyła się, że przez pomyłkę ktoś jej dołał wody do butelki z wódką. Nie może przecież obsługiwać gości i jednocześnie patrzeć na to, co się dzieje za jej plecami. A że tej wody z wódką było w kieliszkach i tak za mało? Zamiast po 100 gramów, w kieliszkach było tylko po 82 i 84 gramy? — Czy Wysoki Sąd wie, jak to jest, kiedy się obsługuje taką masę klientów na raz? Trudno każdemu wymierzać do milimetra. Raz się należy trochę za dużo, a raz za mało...

Sąd wiedział, Sąd w głębi ducha nie wierzył, ale Sąd musiał formalnie uwierzyć oskarżonej i wydać łagodny wyrok. Bo mamy w Polsce jedno z bardziej humanitarnych praw karnych na świecie. Nie można było oskarżonej udowodnić, że to ona sama dołała wody do wódki, a więc trzeba było przyjąć jej oświadczenie, chociaż miało ono mało wspólnego z zdrowym rozsądkiem. Niedomierzenie wódki w kieliszkach też mogło być jednorazową pomyłką. Na stwierdzenie, że bufetowa robiła to stale, ze świadomym zamiarem oszukiwania klientów, trzeba by było mieć więcej dowodów. A więc: pół roku więzienia, z zawieszaniem na dwa lata. Sąd musiał się także liczyć z tym, że dyrekcja i rada zakładowa wystawiły oskarżonej jak najlepszą opinię.

W tym świetle dyrekcja LZG mogła ucząć wniosek PIH o dyscyplinarne zwol-

nienie z pracy za przesadny. Sankcję służbową złagodzona i „za karę” przeniesiono bufetową do „Słonia”. Bufet w „Słoniu” sprzedaje trzy razy więcej wódki, niż bufet w „Rzgowskiej”. Bufetowa mogła więc spokojnie dokończyć budowę swego szesciopokojowego domku, na jednym z ładniejszych przedmieść Łodzi.

Jest to sprawa sprzed kilku lat. Te sama bufetowa musiał PIH przyłapać jeszcze kilka razy, zanim ją wreszcie zwolniono z pracy w gastronomii. Nie było to łatwe, bo po przykrej nauczości bufetowa stała się ostrożniejsza. Niewiele się zmieniło w późniejszych latach. Dopiero powołanie do życia potężnej maszyny — kontroli społecznej, pozwoliło pomyśleć o zorganizowanej, długofalowej akcji. Twarze i postacie inspektorów PIH były wszędzie dobrze znane (vide: „Gangsterzy i filantropi”). Jednemu z tych inspektorów, który lubił się bawić w tajnego detektywa, kelner — niby przypadkiem — odcepził sztuczną brew, a potem — przepraszając — zwrócił uwagę, że „szanownemu panu wasy też słabo się trzymają”.

Z kontrolerami społecznymi była trudniejsza sprawa. Zmieniali się przy każdej inspekcji. Wyglądali jak przeciętni goście. Ich twarze nie dało się zapamiętać. Można było przeprowadzać kontrole systematyczne. W restauracji, w której raz stwierdzono nadużycia, pojawiały się takie kontrole co parę dni, lub co parę tygodni. Były restauracje, które przeżyły po dwie i trzy kontrole tego samego dnia. Za każdym razem przychodzili inni...

Mozemy być pełni uznania dla łódzkiej milicji, która z paru uchwyczonych nitek potrafiła rozplatać zagmatwany klub, pełen węzłów, supłów i supełków. Z drugiej strony jednak, biorąc pod uwagę poziom inteligencji większości dzisiejszych oskarżonych, oficerowie dochodzeniowi MO i prokuratorzy, mieli także zadanie znacznie ułatwione. Mieli do czynienia ze spryciarzami, ale małutkiej miary, oszustami bez wyobraźni. Wystarczy przejrzeć protokoły zeznań oskarżonych w czasie śledztwa, by

nie mieć co do tego najmniejszych wątpliwości.

MECHANIZM GANGU

Półowa oskarżonych to właśnie kierownicy restauracji. Jest ich dokładnie 24 (na ogólna liczbę ok. 40 restauracji w Łodzi). Dwoje z nich jest absolwentami przedwójnej Szkoły Handlowej (na poziomie szkoły średniej). Trzech dalszych kierowników ukończyło eksternistycznie Technikum Gospodarcze, uzyskując kwalifikacje technika — technologia żywienia zbiorowego. Ponadto jeden z kierowników jest absolwentem Technikum Ekonomicznego, jeden ukończył Technikum Rolnicze, a jeden posiada maturę Liceum Ogólnokształcącego. W sumie 8 osób ze średnim wykształceniem. Kwalifikacje co najmniej pięciu, spośród tych osmiu osób, nasuwają niejako wątpliwości. Bo co może rolnik wiedzieć o prowadzeniu dużej restauracji? Czy w Liceum Ogólnokształcącym uczy się młodzież jak kontrolować bufetową i stosunek kelnerów do gości? W czym może się przydać kierownikowi dużej restauracji kwalifikacja technika-technologia żywienia zbiorowego? Bądźmy praktyczni: czy kierownicy najwięk-szych w Łodzi restauracji I kategorii mają czas i „głowę” do nauki? Może tak, a może nie. Co im dało eksternistycznie zdobyte świadectwo?

Pozostałych 16 kierowników legitymuje się co najwyżej wykształceniem w zakresie siedmiu oddziałów szkoły podstawowej. Kilku z nich nawet i do tego nie miało warunków albo cierpliwości — przerwali edukację po IV lub V klasie. Piętnastu z nich w rubryce zawodów, podaje: bez zawodu. Jeden — kelner. Czyli ludzie wzięci po prostu z ulicy, którzy przedtem nigdzie długo miejsca nie zagrzali, bo przecież po paru latach pracy w jednym miejscu mogliby podać jakiś zawód.

Trudno to jest zrozumieć, nawet biorąc pod uwagę fakt, że prawie wszyscy oni zostali zaangażowani na stanowiska kierowników restauracji na początku lat pięćdzie-

KOGUT dla Asklepiosa

szanowny Panie Redaktorze!

Zaczęło się od żółdka, potem okazało się, że to ślepa kłaska. Na rejonie pani doktor stwierdziła: „wyrostek”, napisała na kartce: „appendicitis” i po krótkim namyśle dopisała na marginesie: „cito”. Potem powiedziała: „Proszę z tym udać się do chirurga”.

W drodze do szpitala zwyciężony ból ślepej kłaski nabrał dostojności — stał się ważny — prawie że intelektualny. Bo to już nie jakiś niedźny, ślepy flak związany na dodatek byle jakim sznurkiem.

ale AP-PEN-DI-CI-TIS.

Sam Pan przyzna, Redaktorze, że brzmiał to jak harfa — albo jak jedne uderzenie w klawisze fortepianu. I od razu człowiek staje się kimś i zaczyna czuć się appendystrycznie. Chętnie bym o tym rozpoznał znajomym, ale jak na złość po drodze trafiali się sami obcy, a nie chciałem narazić się na dretwe z ich strony: „No to co?”

W szpitalu chirurg wymiętosł mnie niewąsko i do diagnozy pani doktor dodał: ACUTA.

Wtedy dopiero poczułem się bardzo dostojnie, że tyle zagranicznych słów przyrzeciono do mojego zwyczajnego brzucha.

W szpitalu ubrano mnie w olbrzymia piżamę, kazano cicho siedzieć w łóżku i czekać.

Czekaniem tak aż do wieczora — nic mi jeść ani pić nie dali — jeszcze dwa razy krew brali do analizy. — Tak, Panie Redaktorze! Gdy już straciłem nadzieję, że cokolwiek będzie się działo w tym dniu, przyszedł pielęgniarz i dał mi zastrzyk nazywany przez chorych „Głupim Jasiem”. — Niby, że po nim człowiek niczym się nie przejmuję i robi się wesołym.

Ale mnie wcale do śmiechu nie było, mimo że moi współtowarzysze niedoli, rozmiełszy mnie i bacznie obserwowali, czy już „Głupi Jas” we mnie nie działa.

Pielęgniarz kazał mi się potoczyć na wózku i tak wjechałem z całą pompą na salę operacyjną. Tutaj już czekały na mnie białe postacie w białych czapkach na głowach i białych maskach na twarzach; widziałem tylko czarne, mrugające oczy.

Podwieziono mnie pod wielką okrągłą lampę i z wózka przełożono na stół. Jakies dwa białe przebieraniec dopadły mnie z boku i wbiły w żyte lewej ręki igłę z plastikowym przewodem; — przewód był doprowadzony do wiszącej butelki; — z butelki kapłała przezroczyście jak woda ciecz do żyty. Zapytałem: „po co ta kropelówka?” Odpowiedzieli: „na wszelki wypadek”. — „Co znaczą na wszelki wypadek?”

Przebierańcy zbyli mnie: „To są już takie nasze sprawy”.

Gdy to usłyszałem — włos mi się zjeżył i w gardle mi zaschło — teraz zrozumiałem, po co to całe przebieranie, maski i charakterystyka; — aby operowany nie poznał tego, kto go zarzącał. Skrepowano mi na dodatek ręce i nogi; — nie mogłem się ruszyć, co już było zupełnie fatalne. O ucieczce szkoda gadać!

Wtedy podszedł do mnie inny biały przebieraniec i z-



czął mnie laskotać po brzuchu i nogach: „Czy czuje pan taką śmieszna skórę?”

— „Nie — czuję skórę zupełnie normalnie”.

Przez jakiś czas nic się nie działo — myślałem, że już zapomnieli o mnie.

Ale nie! — znowu mnie podrapali — ale skóra była zupełnie wrażliwa — jakbym wcale „Głupiego Jasia” nie dostał. Wtedy popatrzyli na siebie, odwrócili mnie na bok, kazali zgiąć się w pałąk i

dużo macali po wypiętym kregostupie. Potem wbili szpilę z czymś tam. To mnie spietrało jeszcze bardziej, mimo, że przebierańcy uspokajali mnie podstępnie: „Nic, nic! niech się pan nie przejmuj”.

Odwrócili mnie znowu na wznak — kazali podgiąć nogi w kolanach — i znowu skrobali po brzuchu. Pytali natarczywie: „czuje pan skórę?” — „jeszcze jak! — sto razy bardziej niż przedtem!”

Wtedy starszy chirurg mruknął do młodszego — młodsi mu odmruknęli i dał znać tym przebierańcom od kropelówki.

Chciałem ich jeszcze zapytać, jak się nazywa pieter po łacinie, ale było już za późno; wlałi widocznie do kropelówki jakiegoś paskudztwa, bo nagle zyciorys mi się urwał; zupełnie jakby mnie kto dragiem rabnął w potylicę.

W ten sposób dobili mnie wreszcie zwyciężają narkozą. Wiem, czyja to sprawa: tego młodego lekarza, który przez cały czas obłudnie się do mnie uśmiechał.

Jechałem z Marianną uliczkami Krakowa na Festiwal Filmów Krótkometrażowych. Kluczyliśmy jakimś uliczkami w kółko; — kierowca widocznie nie znał drogi. Zaczęłam mu wyjaśniać, że nie tak trzeba jechać — ale kierowca był zarozumiały i uwił, że lepiej wie, niż ja. Do tego dołączyła się Marianna i zaczęła się sprzecka. Zdenerwowało to mnie i wysiad-

łem z wozu trzaskając drzwiami: „Jedźcie sobie sami!”

Wędrowałem już sam ciastkami i stromymi uliczkami, jakich w ogóle w Krakowie nie ma; uliczki wity się tuż nad przepaściami. Widziałem z góry, jak w jednym ze ślepych zaułków tkwiło zaklinowane auto z Marianną i kierowcą: — „Dobrze wam tak!” — pomyślałem z satysfakcją.

Wędrowałem dalej ścieżkami na krawędzi dachów; —



uliczki wity się coraz bardziej, przechodziły jedna pod drugą; zagubiłem się w tych serpentynach.

Nagle znalazłem się na czwartym piętrze u znajomych. Chodziłem po cichych, mrocznych pokojach, wśród starożyteckich sprzętów. Na tapczanach leżeli śpiący ludzie, a ja wałęsałem się jak duch tam i z powrotem. Zastanowiło mnie w jaki sposób tutaj się dostatek; — podszedłem do okien — były zamknięte; — do drzwi — były zaryglowane i wisiała na nich wielka kłódka. Widocznie musiałem wejść przez dziurkę od klucza albo przeniknąć przez drzwi.

Zrobiło mi się nieswojo i zacząłem szukać wyjścia; — wszystko było pozamykane na amen. Gdy tak krałęm bezszelnie po pokojach, nie wiedząc jak się wydostać — jedna ze śpiących postaci owinięta kocem jeła ustawać z tapczanu powoli prostując się jak żława.

Twarzę nie widziałem — ale czułem uporczywie, przeżone oczy wpatrujące się we mnie. — Wtedy ja także wolno zacząłem unosić się do góry, tak, aż wierzchem głowy w pozycji skośno-pionowej oparłem się o sufit. Jednocześnie zacząłem świecić fosforycznym blaskiem, poznałem to po odbitym świetle na stojącej, owiniętej szelnie kocem postaci.

Trwało to jakiś czas i postać zaczęła się chwiać i powoli opadać na tapczan; — była zaskoczona moim widokiem i mdlała z przerażenia. Wtedy i ja również zacząłem opadać w dół na podłogę, chcąc ratować mdlejącego.

Tu się skończyło — i szary tłum jak w puszystej wacie krałęł mi przed oczami układając się w poziome spirale; — poczułem uklucie zastrzyku.

Za chwilę szare kłęby zaczęły rzednąć, rozplywać się, niknąć, aż wszystko wyklarowało się w słoneczną pogodę. Orkiestra grała tango — to tango z „Tanga”

Stawomira Mroźka — wie Pan, Redaktorze. — Co to Edek z wujem Eugeniuszem tańca.

W rytm tanga ukazywał się powoli, na raty: najpierw kościół Mariacki od dołu do góry — najpierw jedna wieża, potem druga; potem Sukiennice, Ratusz, pomnik Mickiewicza, sprzedawczyńskie kwiaty i chodzący ludzie.

Kawaleczki Krakowa rytmicznie układały się jak żywa mozaika, skakały, doczepiały się, jeden do drugiego aż powstał cały Rynek. Tango rżnęło coraz głośniej i coraz bardziej rytmicznie — cały Kraków pulsował; — i właśnie wtedy, gdy zaczęło się dziać coś ciekawego — obudziłem się na dobre. Był już jasny dzień.

I zaraz kazano mi wstawać: „Chodź! Chodź!” — aby nie było zrostów!

Chodziłem więc dokoła łóżka, trzymając się poręczą, nosem podpierając o ścianę. I byłem głodny jak sto diabłów. I znowu nie dano mi nic ani do jedzenia ani do picia! — Wiem czyja to sprawa: tego starszego lekarza, który mnie operował.

I pomyślałem, Panie Redaktorze, że oni tutaj te straszne rzeczy nazywają zabiegami!

Gdy już po paru dniach było ze mną jako tako, wyciągnąłem spod łóżka koguta; — chciałem go ofiarować chirurgowi.

Współtowarzysze na sali zainteresowali się i koniecznie chcieli zobaczyć odbitkę — bo wszystkim nudziło się jak nie wiem co.

Chwilę przyglądali się grzefice — potem podzielili się na dwa obozy: jedni mówili, że to kura, drudzy że kogut; — zgodzili się na koguta.

Ale dostrzegli także dwie twarze na brzuchu koguta: — trudno im było wytłumaczyć. Wyjaśnienie — że to „taka fantazja” wcale ich nie zadowoliło.

Przyglądali się krytycznie mnie i kogutowi. Jakis czas panowało milczenie, myśla-

łem, że będę miał spokój — ale dopiero się zaczęło.

Jeden z leżących zadał mi proste i perfidne pytanie: „Panie! — a jaka to rasa?”

— Tu mnie dostali — bo rzyjąc koguta, wcale o rasie nie myślałem; — zresztą nie znam się na kurzych rasach. Chorzy zgorszyli się: „To robisz pan — a nie wiesz pan co?”

Przepadłem! — Byłem skompromitowany! Przyglądali mi się z wielką dezaprobatą. Ale widocznie wydało im się to nudne na dłuższą metę — bo powrócili do Koguta.

Mówili „to zielononóżka”, — „to karmazyn — ale jak na karmazyna to za mały ogon” — inni przypuszczali, że to Leghorn, — inni jeszcze co innego — tak, że w końcu niewydarzony kogut niewiadomego pochodzenia zszedł na plan drugi.

Na pierwszy wysunęła się dyskusja na temat kurzych ras.

Okazało się, że dwóch chorych to hodowcy drobiu. Zaczęli długą i zawiłą rozmowę — i w żadnym punkcie nie mogli się zgodzić, bo jeden lepiej wiedział od drugiego.

Jeden mówił, że są kury rasy Sussek — drugi że sasek;

Mimo, że kury są do siebie podobne jednak się zasadniczo różnią, bo jedna się pisze tak, a druga siak.

W końcu zaczęli się na dobre spierać i sussek z saseksem, i sasek z susseksem tak się pomieszali, że sami dyskutujący nie mogli rozwiązać tej zagadki i obrażeni odwrócili się do siebie plecami.

A ja milczałem, bo już miałem dość zgryzoty z tym kogutem.

Gdy żegnałem się z chirurgiem, powiedział mi na pożegnanie:

— „A ten wyrostek prawdziwie był artystyczny; — pół godziny trwało, zanim się do niego dobrałem”.

Łączę wyrazy szacunku WACŁAW KONDEK

siatek, kiedy gastronomia uspołeczniona odczuwała najdotkliwszy brak wykwalifikowanych pracowników. Jeszcze trudniej byłoby zrozumieć w jaki sposób utrzymali się oni na swoich stanowiskach, do czasu aresztowań, które nastąpiły pod koniec ubiegłego roku.

W ostatnich kilku latach sytuacja kadrowa w gastronomii przestała być podbramkowa. Poczynając od roku 1961, Technikum Gastronomiczne w Łodzi, wypuszcza „w świat” po 60 do 100 absolwentów rocznie. Są to młodzi ludzie, na ogół bardzo dobrze przygotowani do zawodu, i znaczna część z nich mogłaby — po 2-3 latach praktyki — objąć stanowiska kierowników restauracji. Niestety, z tych 600 absolwentów, tylko znikoma część pracuje w łódzkiej gastronomii. A nie pracują na pewno ci najzdolniejsi, obdarzeni talentami organizacyjnymi, którzy mogliby szybko zastąpić obecnych kierowników. Nie pracują przeważnie właśnie dlatego, że mogliby zastąpić.

Abym nie było nieporozumień wyjaśniamy, że mówimy wciąż o czasie przeszłym, o stanie, jaki istniał gdzieś do końca 1965 roku. Ostatnio bowiem gastronomia łódzka zorganizowała kilka kursów dokształcających dla zdolniejszych absolwentów Technikum, aby przygotować ich do objęcia stanowisk kierowniczych. W ostatnich miesiącach zresztą już kilku z nich zostało kierownikami restauracji (po aresztowaniu poprzednich kierowników).

Tym bardziej się to wszystko dziwne wydaje, że w ostatnich latach również gastronomia w Łodzi i w Polsce „przeżywała” czterokrotnie weryfikację kadr. Zarówno resort Handlu Wewnętrznego, jak i władze związków zawodowych na wszystkich szczeblach, od zarządów okręgowych do Zarządu Głównego i do CRZZ, zdawały sobie sprawę, że znaczna część niedomagani gastronomicznej uspołecznionej, wynika głównie z niewłaściwego doboru kadry pracowników. Mówiło się od dawna o konieczności

wyeliminowania z gastronomii „elementów przypadkowych” i ludzi bez odpowiednich kwalifikacji, chociaż miało się przede wszystkim na myśl ludzi, którzy wcale nie przy padkiem trafili do gastronomii — właśnie tych, którzy się tam weszli, często niemalym kosztem, aby móc kraść.

Kursy dokształcające dla absolwentów Technikum Gastronomicznego, o których wyżej wspomnieliśmy, zorganizowała jeszcze dawna dyrekcja LZG — Restauracje. Ta dyrekcja, której przedstawiciele odpowiadają dzisiaj z ławy oskarżonych. Dawni dyrektorzy nie uczynili tego z własnej inicjatywy, ani z własnej woli. Wygodniej byłoby im nie mieć ewentualnych następów na miejsce „swoich” kierowników. Zawsze to łatwiej takiego obronić — każdy się może potknąć — tłumaczyć się brakiem zastępcy na jego miejsce. Ale musieli te kursy zorganizować na wyraźne żądanie KL PZPR.

A mimo to „nasi” kierownicy przetrwali bez szwanku wszystkie weryfikacje. Może z wyjątkiem tej ostatniej, z ub. roku, ale tu wielu z nich tłumaczy ich nieobecność. Nieobecność zupełnie usprawiedliwiona po bytem w areszcie śledczym.

W materiałach procesowych znajduje się pełna odpowiedź na te wszystkie, pozorne zarządki. Mniej więcej w połowie łódzkiej restauracji, co najmniej od kilkunastu lat, obowiązywał system płacenia haraczu. Bu-fetowa, która w ciągu dnia pracy zdołała sobie ulecić kilkaset złotych nadwyżki, musiała część tej nadwyżki oddać kierownikowi. Lewe dochody kelnerów były wprawdzie niższe, ale i oni musieli się opłacać. Dla kierownika zresztą 6 kelnerów po sto złotych, czy po pięćdziesiąt złotych — zależnie od kategorii — najwyżej — to było co najmniej tyle, co jedna bufetowa za 300-400 zł. Swoją haracz płacił również szef kuchni, czasem w naturze (tadny kawałek mięsa lub wędliny), a czasem w gotówce.

Kierownicy restauracji opłacali dyrektorów: gotówką, kosztownymi prezentami i

darmowymi biesiadami, nawet dla większej ilości osób zapraszanych przez dyrekcję. W ten sposób, kupując sobie poparcie od góry, mogli z kolei sami dowolnie ustawić podległy sobie personel: kto nie płacił haraczu, ten długo nie pracował. Stąd zrozumieliśmy także, dlaczego tego nie mogli się utrzymać w łódzkiej gastronomii co zdolniejsi absolwenci Technikum.

Jasne jest również dlaczego weryfikacje nie mogły przynieść oczekiwanych skutków. Wystarczy się zastanowić: kto kogo weryfikował? Wszystko sami „swoi”, a przedstawiciel Związku Zawodowego, który wchodził w skład komisji weryfikacyjnej, wiedział tyle, ile chciano mu powiedzieć. W trakcie kolejnych, trzech weryfikacji, usunięto z pracy po kilkanaście osób, ale były to tylko plotki: najczęściej kelnerzy, którzy stali się nałogowymi alkoholikami i którzy swoim traktowaniem gości najbardziej zabagniali książki załóż. Zarazem jednak weryfikacje bywały okazją do porachunków z pracownikami, którzy z jakichś względów stali się niewygodni dyrekcji, lub poszczególnym kierownikom restauracji.

Weryfikacje mogły i powinny zahamować postępujący proces demoralizacji w łódzkiej gastronomii, ale go nie zahamowały. Narzędzie kontroli przechylił w swoje ręce ci, którzy sami powinni być kontrolowani. Taki jest wniosek ogólny z łódzkiej afery gastronomicznej. Ten wniosek pokrywa się zresztą z doświadczeniami rozszerzonymi — też dopiero przez milicję i prokuraturę — afery miesięj sprzed dwóch lat.

Trudno byłoby nam pocieszać się faktem, że afery gospodarcze w Polsce Ludowej nie stanowią takiego problemu jak w państwach kapitalistycznych. W USA, czy w NRF, straty z tytułu takich afer szacuje się na 1 do 2 procent globalnego dochodu narodowego rocznie. Aby dorównać tym krajom, nasi aferzyści musieli kraść od

6 do 12 miliardów złotych rocznie. Bardzo nam do tego daleko.

Ale na aferach gospodarczych w krajach kapitalistycznych traca przede wszystkim prywatni przedsiębiorcy i posiadacze akcji wielkich fabryk i koncernów, a u nas traci Skarb Państwa Ludowego, czyli my sami. Czasem pośrednio — kiedy nadużytki są do konywane na szkodę przedsiębiorstw — a czasem bezpośrednio, z własnych kieszeni, jak w wypadkach afery gastronomicznej czy miesięj.

I wracając do gastronomii: To prawda, że jej głównym mankamentem jest brak odpowiedniej, w stosunku do liczby ludności, ilości restauracji i miejsc w tych restauracjach. To prawda także, iż centralizacja zarządzania sięgnęła w swoim czasie zbyt głęboko. Gastronomii przyniosła ona o wiele więcej złego, niż dobrego. Wycofujemy się z tego, staramy się gastronomicznie odbiurokratyzować i z roku na rok rozbudowujemy sieć restauracji, kawiarni, czy barów.

Lecz prawda jest także, iż nawet w obecnych warunkach nasza gastronomia mogłaby o wiele lepiej zaspokajać potrzeby społeczne. Zależy to głównie od ludzi, którzy w tej gastronomii będą pracowali.

A więc weryfikujmy dalej, z tym tylko, że warto by sobie przypomnieć prawdziwy sens tej czynności. Weryfikować znaczy sprawdzać. Przeglądanie papierków przy zielonym stole trudno nazwać sprawdzaniem. Nawet jeżeli tę czynność wykonuje wiele osób.

Dopiero czwarta z kolei weryfikacja w gastronomii dała pożądane efekty, ale tu — jak już mówiliśmy — materiałów dostarcza kontrola społeczna, milicja i prokuratura. Wydaje się, że gastronomia powinna posiadać własny aparat, który byłby w stanie bieżąco zbierać odpowiednie materiały. Nie dojdzie wtedy do afer, ciągnących się latami.

BOLESŁAW LESMAN

NOWE WIERSZE

Julian Przybos

Widok z Notre-Dame

Te dachy ryto na niebie narzędziem, jak pocisk,
aż do wyblasku iglic, do lekkości!
I widać, jak się miasto, jak pomnik, wynosi
nad siebie — w miasto napowietrzne: w dzieło
jasnowidzenia trwałszego od spłzu —

Szary dzień zaokrąglił swe drobne jasności
do kilku nagle białych bań Obserwatorium:
miniaturowych niebios na Paryżu.
Opada na dno ze swojej kopuły Panteon.

W tym mieście znajdę argument, jak pocisk
z wieży żelaznej wyrwyjający się muirom
ku niebu, które raketami napoczął
nasz wiek...

Gdzie gwiazda sporu?
Gdzie oparcie dla szeroko otworzonych oczu
pod powieką zamkniętą: pod chmurą?

Stanisław Grochowiak

Snilo się miasto...

Snilo się miasto. Byłem gdzieś na krańcu
W dzielnicach biedy. Byłem obuczony
ciężką walizką z tektury. Nade mną
Błyskawicę pełną wiatrobiana chmura.

Boję się burzy. Tak mi się wydaje,
Jakbym ja jeden miał buty z otowiu,
Sumienie z grzechu, śmierć z przypadku daną,
I żadnych względów u Ojczyzna — Boga.

A więc gdy zaczął deszcz padać, gdy wilgoć
Spulchniła ściany łanetnego kufra,
Biegłem po domach. Zebratem kryjówki
W sieniach pachnących karbidem i młotką.

Upadł grom pierwszy. A ja oto stałem
Naprzeciw bramy tłumnej od żebrzących.
To onj do mnie wyciągali dłonie,
Jakby brać chcieli, a potem odpychać.

Upadł grom drugi. Drzwi znalazłem, ale
Gdy tknąłem klamki, one bardzo wolno
Jęły się zmieniać w płytę sarkofagu,
Z napisem: poległ gdzieś na polu chwwały.

Upadł grom trzeci. Więc hukłem do okien,
A w oknie zając wisiał obłuskany,
Gromniea — za nią twarz ukryta w cieniu
A twarz ta była znana mi z miłości.

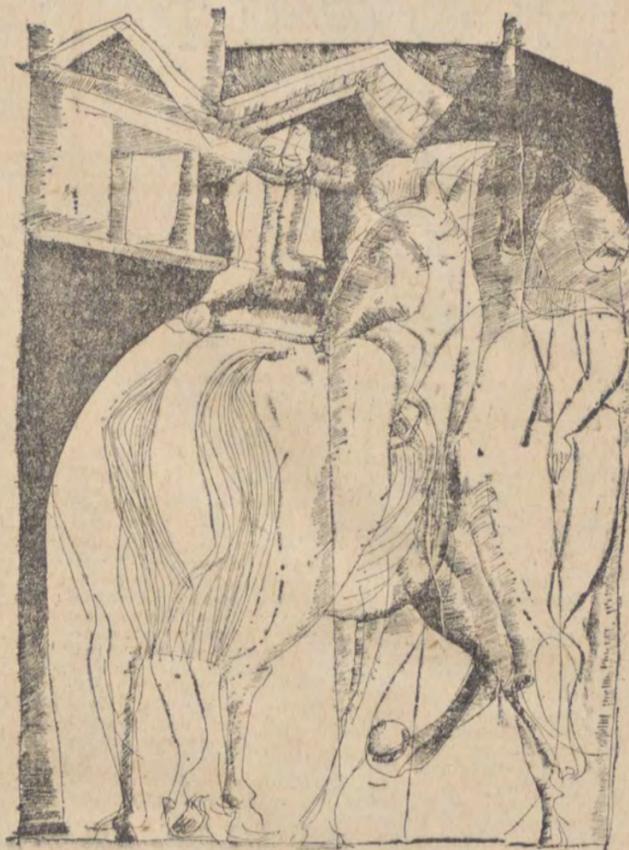
I wówczas słońce ugięło mi czoło.
Blask tak ogromny, że mi płakał oczyma
Suchymi jak piasek rozarty w klepsydrze,
Ja sam wśród wieńca porażonych wróbl.

Snilo się miasto. Nie krzyczałem we śnie
.....
.....
.....

Marian Piechal

Nadczynność czyli finał

Skacząc na wiecznie
zielone drzewo
życia, obieram
je z liści, kwiatów,
owoców, z kory
żywej odzieram,
pracę korzeni
pozbawiam sensu,
z jednym jedynym
pakiem nadziel
gałąź, na której
siedzę, podcinam,
z martwych konarów
czynię rozpalkę
pod złoty piorun.



Rys. Michail Svareman

Zbigniew Jerzyna

Ateizm

Bo wierząc ziemi trzeba iść do siebie,
aż jasność spełni ciągle uroczny grób.

Za horyzontem urywa się krzyk...

Bo tylko myśl jest świetlista i echa,
przez okno wpada i rozjaśnia mił.

Za horyzontem urywa się krzyk...

Niebo zapadło w nas bez echa,
niby wtłoczony duch w materię krzyża.

Zbigniew Kosiński

Mówiono czysta karta nie trzeba mówić już powiedziano
jak kupującemu podaje się cenę
Jeszcze tylko gładką powierzchnię
myśla natychmiast zanotować
Jak gdyby śpiącej na tapczanie złota obwódka
była duszą twarzy i ramion
I później aby czytanie
zazwyczaj nie nie znaczące
stało się dialogiem naszych losów
Jak oczy które żyjąc podwójnie jedno przeżywają
Nim czas wyprzedzi przecucie
Bardziej nieskalane niż nagły pomysł białej karty

PROWINCJA

to

anachronizm

Rozmowa

z Marianem Piechalem

2 i 3 czerwca obradował w Koszalinie XVI Zjazd Związku Literatów Polskich, na którym środowisko łódzkie reprezentowali: W. Jażdżyński, J. Kononowicz, R. Łoboda, M. Piechal, T. Papier i A. Zawilski. Wrażeniami z

str. 6

pobytu w Koszalinie dzieli się z nami prezes Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich Marian Piechal.

„ODGŁOSY”: Uczestniczył Pan w wielu zjazdach Związku Literatów. Jak na ich tle może Pan ocenić ostatni, koszaliński?

MARIAN PIECHAL: Dysponuję oczywiście sporą skalą porównawczą, gdyż opuściłem tylko jeden zjazd Związku Literatów, szczeciński, na którym zapadły uchwały o sztuce socrealistycznej. Dziś nie żałuję, że mnie tam wtedy nie było.

Zjazd koszaliński? Na gorąco trudno mi o precyzyjną ocenę. Mogę stwierdzić od razu, że przebiegał w wyjątkowo harmonijnej atmosferze, delegaci nie występowali z osobistymi skargami i pretensjami, co niekiedy na poprzednich zjazdach wprost paraliżowało obrady. Może o tym pomyślnym klimacie zdecydowało to, że pisarze gościli na

Ziemiach Zachodnich, co ma oczywiście polityczną wymowę. Zjazd stwierdził zresztą, że ziemie te zrosły się gospodarczo i kulturalnie z resztą kraju w takim stopniu, że trudno sobie wyobrazić kulturę Polski bez wkładu tamtych ośrodków twórczych. Debiutanci tego regionu są już co warto podkreślić, rodowitymi mieszkańcami Ziemi Zachodnich. Jest to wymownym świadectwem wrastania w rdzeń polskości. Warto przytoczyć zresztą taki fakt: W przeddzień obrad odbyło się zebranie prezesów ZLP z ośrodków północnych i zachodnich, którzy stwierdzili, że Zjazdy Pisarzy Ziemi Zachodnich straciły już swój sens i przygotowywany właśnie szczeciński będzie już prawdopodobnie ostatnim. Polska jest jedna i zjazdy terenowe będą poświęcone problemom ogólnokrajowym.

„ODGŁOSY”: W referacie sprawozdawczym ZLP poświęca się sporo miejsca pracy oddziałów terenowych. Co się tam mówiło o ośrodku łódzkim?

MARIAN PIECHAL: Referat sprawozdawczy odczytał Jan Maria Gis-

ges. Wyeksponowano tam sprawę akcji upowszechniania literatury, podkreślając uspołecznienie naszego środowiska, zwłaszcza że działalność ta nie odbywa się kosztem naszej twórczości oryginalnej. Stwierdzono także, że inicjatywa Festiwalu Poezji wchodzi już do tradycji Łodzi i do tradycji Polski. Podobnie oceniono nasze starania o periodyk „Osnowa”, który stanie się kwartalnikiem, co wydatnie świadczy o rozwoju środowiska.

„ODGŁOSY”: A jakie problemy dominowały w dyskusji, która zazwyczaj daje przecież obraz tego co nurtuje środowisko pisarzy?

MARIAN PIECHAL: Dyskusja, jak już wspominałem, była poważna i rzeczowa. Osobiście najwyższe oceniłem wypowiedź przedstawiciela Ministerstwa Kultury i Sztuki, Heleny Zatorskiej, która mówiła na temat niedoborów wydawniczych związanych szczególnie z literaturą dla dzieci. Trudności te wynikają przede wszystkim stąd, że literatura młodzieżowa i dziecięca jest instrumentem oddziaływania wychowawczego i dydaktycznego, nie

zawsze więc sama wartość artystyczna tych książek jest decydująca dla ich wydania. Wyjaśnienie Zatorskiej spotkało się ze zrozumieniem pisarzy, gdyż zagadnienie funkcji wychowawczej literatury dla dzieci ma oczywiście kapitalne znaczenie. Przedstawicielka Ministerstwa poinformowała także, że w wydawnictwach w każdym dziale wzrosła ilość zaplanowanych książek, a dotacja państwa na honoraria zwiększyła się o 30 milionów złotych.

„ODGŁOSY”: A jak przedstawia się wkład delegacji łódzkiej w obradach tego zjazdu? Słyszeliśmy, że łodzianie wyjeżdżali do Koszalina z całym bagażem spraw żywo obchodzących wszystkie środowiska twórców działających w naszym mieście.

MARIAN PIECHAL: Nasza delegacja miała oczywiście przygotowane starannie wystąpienia. Zorientowaliśmy się jednak, że obrady są za krótkie, aby mogli zabierać głos wszyscy. Uzgodniwszy swą wypowiedź z kolegami mówiłem w imieniu środowiska tylko ja podnosząc przede wszystkim problem

WIADUKT do nikąd

Literackim próbom debiutantów poświęcone są takie cykliczne wydawnictwa jak iskrowski „Almanach młodych” oraz almanachy LSW „Młoda wieś pisze”. Z ogromnym zainteresowaniem bierze się więc do ręki jeszcze jeden zbiór z tej serii (firmowany tym razem przez Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy przy ZW ZMW w Łodzi. Lekturze licznych pierwocin poetyckich i prozatorskich towarzyszy nadzieja, że może wreszcie objawi się autor, którego czekamy, autor, którego twórczość przekreśli wszystkie niedostatki literackie młodych z jego pokolenia. Ale oto i ostatnia stronica książki.

Wielkie trudności czytania wynagradza utwór pochodzący zapewne od redakcji, choć nie podpisany, bezspornie najlepszy w tomie, a zatytułowany „Noty biograficzne”. Przynosi lakoniczne, choć jednocześnie wiele mówiące informacje o młodych autorach książki. Okazuje się, że w almanachu na równych prawach startuje świetlicowcy, któremu niedługo stuknie sześćdziesiątka i, znów przykładowo, dwudziestoletnia studentka.

Cechą tej książki jest przesadnie całkowity brak kryteriów wydawniczych. O wieku autorów już wzmiankowaliśmy. Stopień zaawansowania literackiego także nie jest żadnym wyróżnikiem. Niektórzy

z autorów, jak choćby Marian Pilot, mają za sobą już kilka książek. Inni dobrze się zapowiadają powiedzmy od piętnastu lat i na tym koniec. Są wreszcie i tacy, których próba zasługuje na życliwość, debiutanci prawdziwi i tylko ich uczestnictwo w tej książce jest uzasadnione względami społecznymi, a niekiedy także artystycznymi. Liczący 300 stron almanach jest przynajmniej o 200 z nich za gruby.

Książka tylko w podtytuł nazywa się almanachem młodych, wydawca nadał mu miano „Wiadukt”, co pewnie ma wskazywać na jakieś artystyczne powinowactwo utworów. Byłbym wdzięczny za informacje, o jakie powinowactwo tu chodzi. Większość nieudolnych prób poetyckich i prozatorskich, jak można było wydedukować z następnej noty redakcyjnej, o konkursach literackich LKKMP, jest pokłosiem tych imprez. Zalewać jednak należy, że redaktor książki, także nie podpisany, nie oddzielił ziarna od plewów. Do jednego worka zostały wrzucone utwory poprawne, czasem udane, i utwory nie zasługujące na druk. I rzecz zastanawiająca: autorzy, których znamy z ciekawych nieraz prób drukowanych gdzie indziej, na kartach almanachu jakby zapomnieli swego rzemiosła. Klasykiem tego przykładem mogą być wiersze Gorzelskiego, którego wyobraźnia zdaje się nie może udźwignąć wielkiego tematu rewolucji i walki klasowej i każda strofa demaskuje werbalne, robione na siłę „zaangażowanie”. Odpowiednio zaprogramowana maszyna cyfrowa zdobyłaby się chyba na lepsze wiersze. Podobnego wrażenia dostarcza lektura innych prób poetyckich, których nie będę mógł szczegółowo wyliczyć, gdyż rozdeleby to recenzję do nie uzasadnionych rozmiarów.

Zastanawiało mnie zawsze

dla czego konkursy literackie Związku Młodzieży Wiejskiej noszą nazwę konkursów o nagrodę „Człoteka Tkackiego”. Dlaczego nie są to konkursy o nagrodę powiedzmy „Kłosa”, „Pluga” czy choćby „Radła”? Może ktoś powie, że nazewnictwo nie jest istotne. Okazuje się jednak, że młodzi autorzy zresze w KKMP jakby wypierają się swego patrona, wypierają się wsi, która mogłaby nasycić ich twórczość życiowymi sokami. Nie przemawia tu przede mną przekora. Najciekawsze i najwartościowsze utwory temu mówią własnie o życiu wsi. Piszą o wsi Puto, Wojciechowski, Trziszka. Są to opowiadania, fragmenty większych całości i reportaże.

W książce znalazło się kilka reportaży. I trzeba życzliwie spojrzeć na reportaże, w próby Cieleckiego, Orlewskiego i paru innych, choć ich prace wykazują niedostatków faktografii i dramaturgii, jakich mamy prawo wymagać od reportażu literackiego.

Trzeba też ciepło powitać kilka wierszy. Godne wzmianki poetyckie składają w tomie Biskupski, Chudy, Dunańczyk, Jarmołowski, Królikowski, Orlewski, Rajczak, Świątowski. Ale ich próby nie są w stanie zatrzeć ogólnego wrażenia z lektury tej książki. Mroczny jest ten wiadukt. I zostanie mroczny, dopóki nie rozświetli go chociaż jakaś myśl redakcyjna, jeśli nie artystyczna.

„Wiadukt — młodzi”, Wydawnictwo Łódzkie 1967, str. 306 cena 16 zł, nakład 1500 egz.

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

Komedia ludzka?

Powieści Greena trzeba od czytywać poprzez tezy, które bądź sam stwarza, bądź są wokół niego stwarzane. Pod chwycającym się szydem pisarza katolickiego Greena buduje świat, w którym wszelkie wartości zaopatrzone są w mocny znak zapłaty. Cecha charakterystyczna jego pisarstwa jest budzenie niepokojów przez podsuwanie możliwości określonych ocen, a następnie zaprzeczanie takim właśnie możliwościom. Kiedy czytając powieści Greena zaczynamy już podejrzewać afirmacje jakiegoś losu lub postępowania, znajduje my niebawem coś, co takiej afirmacji się przeciwstawia, akcent, podający w wątpliwość wnioski, które można by przypisać autorowi. I odwrotnie — gdy ukazują on wydarzenia, które zdaje się obdarzać „wartością ujemną” (choćby „dno zła” w „W Brigh ton”), następnie sam przeczy możliwości takiej oceny, jaka na pozór podsuwał. Niewątpli wie jego obsesja, jego „sednem sprawy” jest pytanie o wartości, o punkt zerowy, od którego można by je oznaczać. Niekiedy to centralne pytanie wyraża się odruchem buntu. Tak jest w „Sednem sprawy” gdzie została ukazana absurdalność istnienia, skrupowanego narzuconymi przez tradycje więzi, istnienia, zakreślonego klasa, ponieważ przekroczone kredowa granice zła, zła której nie mogło już być powrotu. Bunt ten jednak nie nasila się w twórczości Greena — przybiera natomiast na sile nurt sceptycyzmu. Bohaterowie jego powieści żyją w świecie wartości mierzonych w dwóch skalach. Pierwsza to normy postępowania tkwiące w człowieku, zaszczytione mu przez tradycje, druga — to stosunek jednostki do presji wywieranej na nią przez instytucje dysponujące władzą. Nierzadko ta dwoistość kryteriów doprowadza do wewnętrznych konfliktów. W „Wamold z „Naszego człowieka w Hawanie” zna pojęcie uczciwości, czuje, że nie jest w porządku oszukując władzę, które mu płaca, czuje się niedzielnym komediantem przesyłając centrali wywiadu rysunek cześci broni, a z drugiej strony nieojaralność wobec władzy (ze względu na skutki lojalności) jest objawem pozytywnym. Wamold wygrywa mimo woli, nie dzieki sobie, ale dzięki kodeksowi instytucji, który nie pozwalał się przyznać do faktu jej oszukania. Podobnie jest w innych powieściach Greena. Jego bohaterowie najczęściej muszą wybierać między własnymi emocjami wynikającymi z odziedziczonych norm etycznych a zrozumieniem, że działanie w myśl tych zasad oznaczałoby zbrodnie wobec innych ludzi. Kiedy dokonają wyboru, zaczynają dzia-

łać. Po każdym jednak działaniu pozostaje niedosyt i pytanie, czy były one słuszne.

W „Komediantach” Green silniej może niż w innych swoich powieściach postawił znak zapłaty obok sensu ludzkiego działania. Za jaką wiarę zginął Jones? pyta Brown — narrator z „Komediantów”. Jones należał do oddziału partyzackiego, który podjął walkę przeciwko terrorystycznemu rządowi doktora Duvalier w republice Haiti, walce nierówna i daremna. Wiemy, że Jones marzył o oszukaniu rządu i zdobyciu większej ilości pieniędzy — nie udało mu się to jednak i dlatego, z konieczności, znalazł się w opozycji. Ale czyż oszukanie takiego rządu nie byłoby pożądane? Postępowanie Jonesa nie było bynajmniej postępowaniem racjonalistycznym — uzewnętrzniał on bowiem potrzebę opowiadania o swoich bohaterskich czynach militarnych. Swoją opinię dzielnego żołnierza ugrun tował tak dalece, że postanowiono zaprosić go do partyzantki w charakterze dowódcy i moralnego oparcia. Igrał rolę tak dobrze, że nikt, prócz Browna, któremu się zwierzał, nie zorientował się, że to rola. Co więcej — grał tak konsekwentnie, że aż zginął dla polity.

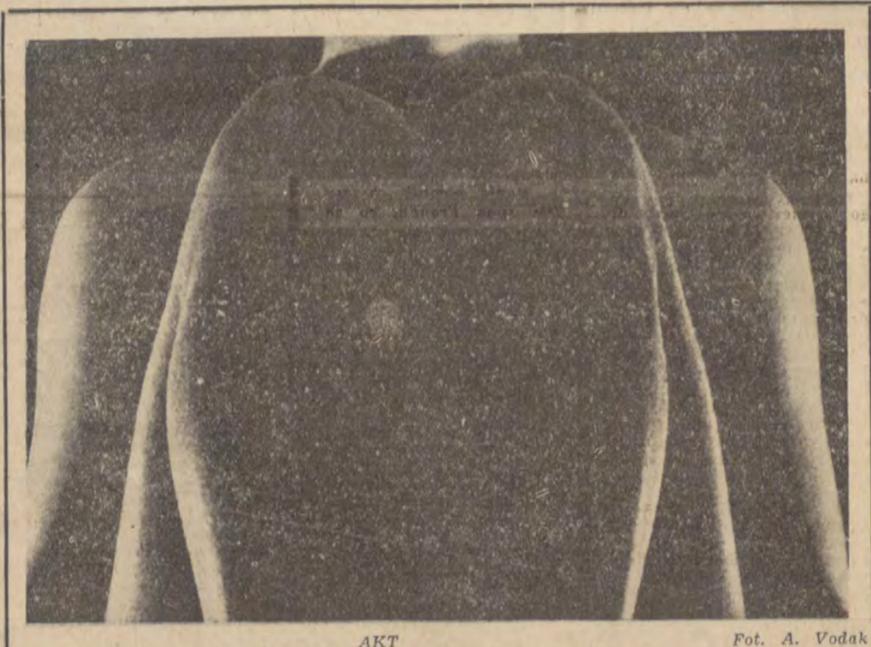
— Dlaczego umierasz Jones? — Tak wypada z mojej roli, drogi panie, tak wypada z mojej roli — mówi Jones do Browna we śnie.

A oto motto „Komediantów”: „Pożory są w nas. Kto najbardziej wygląda na króla, ten jest królem” (Thomas Hardy). Czy jeśli ktoś gra swoją rolę tak konsekwentnie do końca, to czy jest to rola, czy pozor roli? A zresztą, jeśli nawet jest to rola, to co zostaje takiemu Jonesowi przez zejście ze sceny w odpowiednio efektowny sposób? Czy nie jest to rodzaj heroizmu?

Zwinna intryga tej powieści osłabia jej wagę. Ale w powieściach Greena konstrukcja losów bohaterów często więcej mówi niż ich monologi i dialogi. W „Komediantach” dialogi są często banalne i melodramatyczne. To właśnie sprawia, że można przeczytać jego książki prawie jak kryminał i przeczytać „sedno sprawy”. Intryga nie jest tu bynajmniej pretekstem, jest najważniejszym środkiem artystycznym. Jej elementy zaczerpnięte są ze świata zewnętrznego. Ta artystyczna wartość kompozycji rzeczywistych wydarzeń jest cechą „literatury faktu” ku której ciężą powieści Greena, litera-

tury, której szkodzi nadmiar psychologii, a działanie poszczególnych postaci interpretuje się wzajemnie. W „Komediantach” postępowanie jednej osoby odsłania absurdalność postępowania innej. Już wydaje się, że doktor Magiot — Murzyn prawy i szlachetny urodził na bohatera, kiedy czytamy jego wnioski i aż łzawy list do Browna, który otrzymuje on po śmierci nadawcy. Ale nagle uderza nas śmieszność sytuacji. Bo Magiot pisze do Browna o potrzebie nowej wiary: „Jeżeli wyrzekł się pan jednej wiary, wyrzekł się pan także wszelkiej wiary. Zawsze jest coś co możemy wybrać zamiast wiary, która straciłismy. A może jest to ta sama wiara pod inną maską? Magiot pisze do Browna nie istniejącego, ponieważ Brown żadnej wiary nie stracił. Chciał mieć dobrze prosperujący hotel i to wszystko. Oko licznosci wpadły go w wir wydarzeń. Magiot jest ze swoim listem tak śmieszny. Jak śmieszny jest człowiek mówiący w pustym i ciemnym pokoju do kogoś kogo wcale nie ma. Testament Magiota przeszedł bez echa. Brown czuł to sam: „W moim świecie nie było ani szczytów ani przepaści — widziałem się bie na wielkiej równinie, we drążącego przez niezmierną płaszczyznę. Kiedyś mogłem obrać inny kierunek, ale teraz jest już za późno”. Ale trzeba pamiętać o tym, że rządu doktora Duvalier w Haiti nie były wymysłem autora. Literatura faktu jest interpretacją faktów rzeczywistych znanych czytelnikowi. Haiti u Greena przypomina ma makabryczną groteskę. Są tam straszni policjanci w czarnych okularach uciekający jednak przed zuchwałą panią Smith w papilotach, jest szalony niemal przywódca opozycji Philipot szukający Bre-na, a potem śmierci, są dzikie obrządki religijne tubylców, jest dickensowski pan Smith waleczący o wegetarianizm tam, gdzie ludzie omal nie pożerają się wzajemnie, jest hochsztapler Jones, urastaający na bohatera. Można podejrzewać, że to wszystko jest tylko przedstawieniem w którym są mniej lub bardziej udane role. Ale ten teatr, jak wiemy, miał przedłużenie w rzeczywistości. I nie wiadomo czy to nie taki rodzaj teatru, w którym nie ma podziału na widzów i aktorów.

* Graham Greene, „Komediant”, Warszawa 1966 r., PAX.



AKT Fot. A. Vodak

SPEKTAKLE tygodnia		
NOWY	„Sluby panieńskie”, 2 spektakle	1000 — 70%
	„Pan Drops i jego trupa”, 3 spektakle	1800 — 85%
NOWY	„Szklana menażeria”, 1 spektakl	200 — 100%
Mala Sala	„Święta Joanna”, 1 spektakl	800 — 92%
POWSZECHNY	„Mocne uderzenie”, 1 spektakl	570 — 88%
JARACZA (Moniuszki 4)	„Mój biedny Marik”, 3 spektakle	1863 — 95%
7.16	„Faryżanin”, 3 spektakle	1260 — 100%
TEATR WIELKI	„Rigoletto”, 2 spektakle	2552 — 100%
	„Straszny Dwór”, 2 spektakle	2552 — 100%
	„Książę Igor”, 2 spektakle	2832 — 100%

pedu młodzieży literackiej do stolicy i zastanawiając się nad przyczynami tego zjawiska, które mogliśmy zauważyć także u nas w Łodzi, bo jest to tendencja ogólnopolska. U nas te ucieczki młodych związane są z takimi nazwiskami jak A. Brycht, B. Drozdowski czy J. M. Rymkiewicz, z poetami i prozaikami, którzy jeszcze nie tak dawno debiutowali w Kole Młodych przy Łódzkim Oddziale ZLP. Tzw. teren ma dla pisarzy wiele zalet przede wszystkim dlatego, że daje ogromną sposobność do bezpośredniego kontaktu z masami czytelnikami. Tego w Warszawie nie ma, tam są tylko kontakty pośrednie poprzez centralne urzędy, wydawnictwa i gazety. Okazuje się jednak, że to właśnie jest dla młodych najbardziej atrakcyjne. Świadczy o tym dzisiejsza mapa literacka kraju, na której zauważyć można rzeczy zupełnie paradoksalne. Dość powiedzieć, że w stolicy mieszka przeszło 600 pisarzy, w terenie zaś, a więc na terytorium całej Polski z wyłączeniem Warszawy tylko nieco więcej niż 300. Stan ten uznać należy za szkodliwy anachronizm. Tę anomalię można zresztą zlikwidować, rzecz jasna stop-

niowo, poprzez danie tzw. prowincji tych środków, którymi dzisiaj jak magnes przyciąga pisarzy Warszawa i może jeszcze Kraków. Rozwój środowiska krakowskiego jest właśnie dowodem, że ośrodki regionalne nie mogą się prawidłowo rozwijać bez czasopism literackich o krajowym zasięgu. Kraków, jak wiadomo, ma takie pismo. Jest nim „Życie Literackie”, gdzie chętnie publikują swoje utwory także pisarze stołeczni. Inne czasopisma regionalne traktowane są jako trybuny lokalne. A przecież, jak już wspominałem, w naszym ustroju pojęcie prowincji to anachronizm i dlatego należy robić wszystko, aby zniknęło ze świadomości społecznej i z praktyki urzędów administracyjnych kultura.

„ODGŁOSY”: Z jakimi konkretnymi postulatami zmierzającymi do zmiany tej sytuacji wystąpił Pan na Zjeździe i czy można uważać je za zatłwione?

MARIAN PIECHAL: Zjazd obradował w kontekście wielkich spraw, bohaterskiej obrony Wiśniewczyków i niebezpieczeństwa faszyzmu w Grecji. Uchwaliliśmy w związku

z nimi rezolucje precyzujące stosunek pisarzy polskich do rozwoju wydarzeń politycznych na świecie. Na te tak ważnych problemów postulaty nasze dotyczące dalszego rozwoju środowiska literackiego w Łodzi mogą się wydawać skromne, choć dołożyliśmy wszelkich starań, aby je zrealizować. To w pierwszym rzędzie sprawa „Osnowy”. Decyzja przekształcenia jej w kwartalnik utknęła gdzieś na szczeblu ministerstwa i mimo obietnic w dalszym ciągu istnieje stan niepewności, czy nasze wysiłki zakończą się wynikiem, jakiego oczekują łódzcy pisarze. To także sprawa poszerzenia profilu Wydawnictwa Łódzkiego, które tylko częściowo zaspokaja ambicje i potrzeby naszego środowiska. Sprawa przedstawia się o wiele drastycznie, niżby to wynikało z danych, które nam przyniosła choćby plany tematyczne tej oficyny wydawniczej. Uważamy ją za niezwykle ważną.

Ostatnia wreszcie sprawa to uzyskanie debitu ogólnopolskiego dla „Odgłosów”, które obecnie kolportowane są tylko w Łodzi i województwie. Bez ogólnopolskiej trybuny, jak już wspominałem, trud-

no sobie wyobrazić prawidłowy rozwój środowiska, którego wysiłki i sukcesy rzadko dostrzega prasa centralna. Nie czujemy się gorsi od Krakowa, a Kraków ma przecież ogólnopolskie „Życie Literackie”. Czas już chyba na awansowanie „Odgłosów”, które z różnym szczęściem, ale przecież zniosły dług, bo dziesięcioletni okres próby.

Sprawy te, jak wspominałem, na zjeździe można było tylko zasignalizować, ale pamiętamy o nich.

„ODGŁOSY”: A jak może Pan ocenić starania gospodarzy, co nas interesuje tym bardziej, że z takim choćby miastem jak Słupsk, na Ziemi Kozalińskiej Łódź od dawna utrzymuje ożywione kontakty?

MARIAN PIECHAL: Koszalin to miasto młode i co tu ukrywać, piękne. Piękne także przez atmosferę serdeczności, którą zaprezentowali nam gospodarze. Organizacja zjazdu była wzorowa, stosunek ludności i władz więcej niż życzliwy. Można było zauważyć, że nie tylko moje odczucie, prawdziwy piętyzm dla pisarstwa. Trzynastu po-

etów, uczestników zjazdu wybrano do występowania autorskich w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym. Brałem udział w tym wieczorze, który uważam za wielce pożyteczny. Mieliśmy okazję zetknąć się z żywą, szczerą reakcją słuchaczy. Podejmowały nas władze wojewódzkie, partyjne i administracyjne i nie było chwili czasu, aby się nudzić. Nie było także czasu na wytchnienie.

„ODGŁOSY”: Pozwoli Pan zapytać: kiedy Łódź będzie występowała w roli gospodarza któregoś ze zjazdów Związku Literatów Polskich?

MARIAN PIECHAL: Odpowiem krótko, ale chyba wyczerpująco. Delegacja łódzka złożyła wniosek o odbycie następnego zjazdu ZLP w Łodzi i zostało to przyjęte. Ostatni raz Łódź gościła pisarzy na zjeździe w roku 1946, a więc dwadzieścia lat temu. To spory okres czasu. No, ale jeśli wolno zażartować, czekanie opłaciło się. Najbliższy zjazd ZLP będzie zjazdem wyborczym, a więc bardzo ważnym.

W Cannes, gdzie morskie fale...

Wyobraźcie sobie, drodzy Czytelnicy, że umiłowany przez Was tygodnik, najświetniejszy organ prasowy Łodzi tudzież województwa otrzymał nagle skromny przydział z puli dewizowej na cele wysoce kulturalne. Jako że jest to czasopismo wydawane w mieście szczytującym się mianem polskiego Hollywood, a nadto znajdujemy się właśnie na etapie umacniania wielowielkownych więzi z kulturą francuską — przydział ten przeznaczono na wysłanie specjalnego korespondenta na XX. jubileuszowy festiwal w Cannes.

Na burzliwym zebraniu zespołu redakcyjnego wybrano wreszcie współpracownika najbardziej czarującego, przez skromność nie dodam, iż najbardziej szlachetnego i obarczono ważką ale reprezentacyjną misją. Zaopatrzonej tedy w „Rozmówki polsko-francuskie” tudzież dobre rady licznych przyjaciół i fachmanów od zagranicznych wojaży, specjalny wysłannik wsiadł w odpowiedni środek masowej komunikacji, by po niedługim czasie znaleźć się na miejscu.

Na słynnym i przez różnych globotróterów, wielokrotnie opiewanym, bulwarze Croisette spacerowały tłumy modnie ubranych osobników płci obojga. Całość na pierwszy rzut oka przypominała Piotrkowską w majowy, niedzielny poranek lubo też sobotnie popołudnie. Brakowało tylko matek z dziećmi w różowych poduszeczkach. Znany z licznych krajowych dysertacji naukowych, Pałac Festiwalowy rozbrzmiewał różnorodnym gwarem. Jak twierdził bywalec, ośrodek życia towarzyskiego Festiwalu przentosił się z wind pałacu na jego malownicze i kręte schody. Wielki ten przełom spowodowany został nie tyle wpływami słynnej szkoły polskiej ile modą na mini-spodniczki.

W nowej sytuacji schody umożliwiają daleko wnikliwszą obserwację bliźnich, ułatwiają wzajemne poznanie się i kontakty. Izby nie budzi w mieszkańcach naszego grodu nadmiernych kompleksów. dodam, że życie festiwalowe ma w sobie coś ze skrzyżowania atmosfery SPATIFU z „Honoratką” tylko na europejską skalę i pod lazurowym niebem. Chodzi w gruncie

rzeczy o to samo jeno w innym wymiarze.

Gołębia prostotę i niewinność ducha zdradzają ci, którzy sądzą, iż festiwale są świętymi ofiarami, na których odprawia się uroczyste msze na cześć X Muzy. O sztuce myśli tu maleńkie grono krytyków — pasjonatów, tudzież kilku członków jury, którzy się akurat na tym znają. Reszta to jeden wielki jarmarczny byznes, w którym więcej liczy się Lollobrigida niż Antonioni. Oficjalnie wyniki festiwalowego wysiogu interesują grono znawców i miłośników. Dla pozostałych ważniejsze są rezultaty nieoficjalne, podpisane kontrakty, korzystna reklama, zresztą obmyślane skandaliki, zawarte znajomości. Jak w życiu. Ta gorączka biznesu jest zaradliwa. Ubiegłoroczny canneński laureat, Claude Lelouch musiał wycofać się z jury, kiedy okazało się, iż nabył prawa do dystrybucji filmu o nagrodzenie którego się ubiegał. W jury zasiadają rozmaici ludzie, rozmaitymi kierując się motywami. W tym roku znaczne to grono uświetniła swą obecnością, pełna uroku, dowcipu i inteligencji, a cechy te rzadko występują razem nie tylko u aktorek, amerykańska gwiazda Shirley Mac Laine. Kto wie czy właśnie jej nie zawdzięczamy wyjątkowo trafne orzeczenia tegorocznego festiwalu. Jeśli już mowa o gwiazdach to właśnie one, przyozdabiane we wspaniałe kreacje i od młostwa klejnotów błyszczące, stanowiły główną atrakcję canneńskiej imprezy. Widocznie, przez zwykłą omyłkę nie było tam wprawdzie Czyżewskiej, Zawadzkiej i Tyszkiewicz, ale ich niewątpliwie bolesną dla wszystkich nieobecność, kompensowały B.E. Lollobrigida, Jean Moreau, Annie Girardot itd. itd. Mieskim klejnotem festiwalu był bohater jugosłowiańskiego filmu „Spotkałem nawet sześciu cyganów” Belcim Fehniu, uznany za skrzyżowanie wdzięku Belmonda z przemiłotami Bogarta. Dzięki sukcesowi jugosłowiańskiego filmu (aż dwie nagrody, w tym także nagroda krytyki) Cyganie stali się bardzo modni w Cannes. Specjalnie sponrządzona orkiestra cygańska grała rzewne romanse i ogniste czardasze, ku radości wszystkich zebranych, w malowniczym lokalu urządzonej na

kształt cygańskiego obozu. Festiwal zaszczyliła także swą obecnością autentyczna księżniczka Ira de Furstenberg, reprezentująca obok Sorayi wyższe sfery towarzyskie na kinematograficznym firmamencie. Piękna księżniczka wystąpiła w filmie Hosseina „Zabiłem Rasputina” dowodząc tym samym, iż żadna sztuka nie jest jej obca.

Jedną z większych sensacji Festiwalu był fakt znalezienia w Pałacu jakiejś zagubionej mini-spodniczki brak której jak widać, podekscytowana przeżyciami artystycznymi, właścicielka nawet nie zauważyła. Pokazy filmowe stanowiły znakomitą okazję do przeglądu toalet, tudzież najnowszych podbojów sercowych i finansowych wielkości świata filmowego i osób towarzyszących. Same dzieła, jak niełatwo odgadnąć, były w całej tej imprezie meczącym acz nie dającym się usunąć dodatkiem. Cóż, życie nawet w Cannes nie samymi jest ustane różami, co Wam Wasz specjalny wysłannik z Cannes, ku pokrzepieniu serc, donosi.

Na Festiwalu pokazano w



sumie około 150 filmów pełnometrażowych. 29 dopuszczono do oficjalnej konkurencji. 10 prezentowano w ramach Międzynarodowego Tygodnia Krytyki, 110 na tzw. Targach Filmowych. Obliczono tedy, iż chce to wszystko w ciągu 15 dni obejrzeć należałoby spędzić na sali projekcyjnej 15 godzin dziennie! Ważną sprawą był wysłannik nie okazał się tak wytrwałym miłośnikiem kina, gdyż jak trafnie zauważył w udzielonym francuskiemu miesięcznikowi wywiadzie, jeden z naszych najbardziej wybitnych i najwięcej obiecujących reżyserów filmowych Jerzy Skolimowski, że kiedy się jest po raz pierwszy w Cannes ma się coś lepszego do roboty niż latać i oglądać filmy, które i tak w ciągu najbliższego dziesięciolecia dotrą na rodzime ekrany. A jeżeli nawet nie dotrą, to i tak już właściwie nikt ich nie będzie chciał oglądać.

Jak już powszechnie wiadomo, ku szczeremu zdziwieniu wytrwałych znawców, naj-

ozdobniejsze z festiwalowych laurów zdobył Michelangelo Antonioni za „Powiększenie”. Antonioni dawno już stracił sympatię krytyki, nudo jest bowiem zajmować się ciągle jednym i tym samym twórcą. Do znacznie zabawniejszych rozrywek należy wymyślanie nowych bogów. Dlatego też uznano, że Antonioni już się skończył, a właściwie to zawsze był grafomanem, tylko zresztą potrafił to zamaskować, co jak historia poucza, nie wszystkim się udaje. I tu nagle takie przykre zaskoczenie. Antonioni zrobił film i bez Moniki Vitti i w nowym środowisku i zupełnie, ale to zupełnie inny. A w dodatku piękny i mądry. Takie swoje „Osiem i pół”. Rzecz o młodym fotografie, który wierzy, iż istnieje tylko to, co da się utrwalić na kliszy i że fotografowany obraz przekazuje może jedyną prawdę o rzeczywistości. Ale okazuje się, iż coś jest nie tak. Obiektu notuje i utrwała pewne fakty, ale klucz do nich tkwi gdzie indziej. Młody fotograf nie zdołał rozwikłać zagadki, przypadkowo przezeń zarejestrowanej. Kino reprodukuje obraz obiektywny rzeczywistości nie daje więc pełnego obrazu prawdy? Istnieje coś niedostępne szkieletu i oku. „Powiększenie” skłania do refleksji. Samo bowiem jest refleksją artysty nad wartością i granicami własnej sztuki, człowieka nad sytuacją człowieka w dobie kultury obrazkowej, w epoce wartości czysto przedmiotowych, a zatem czysto zmysłowych. Obok Antonioniego błysnęli jeszcze dwaj inni starzy mistrzowie — Losey prezentując „Wy-padek” i Bresson — „Mouchette”. Jest to już drugi po „Baltazarze” film Bressona zawierający absolutne potępienie współczesnego świata, w którym triumfuje zło i przewrotność, a wszelkie dobro skazane jest na zagładę. Głęboko humanistyczny optymizm wcześniejszego Bressona zniknął bezpowrotnie. Optymizm ten natomiast, jak zauważył, okazał się Germi opiewającym kłopoty i radości mężczyzny nie potrafiącego oprzeć się swym poligamicznym z natury skłonnościom. („Niemożliwy”). Ta pochwała wszechobejmującej natury mekskiej spotkała się z zroziębłą aprobatą festiwalowej publiczności. Wszystko bowiem w końcu zależy od punktu widzenia.

Do ogólnej chwały Festiwalu przyczynił się także fakt „objawienia” dwóch nowych interesujących zjawisk artystycznych. Dużą niespodzianką sprawił bowiem Jugosłowiańczyk z młoda kinematografia izraelska. Film izraelski „Trzy dni i dziecko” reżyserii Uri Zohara zyskał duże uznanie krytyki. Był to bowiem film piękny, dziwny, niepokojący, a zarazem bardzo świeży i młodzieńczy.

W sumie XX Festiwal w Cannes okazał się imprezą udaną i do jego pełnego splendoru brakowało chyba tylko polskich filmów.

BWA i wystawy

Sporządzając bilans zasług Biura Wystaw Artystycznych w krzewieniu kultury plastycznej w Łodzi, niepodobna zaczynać od negacji. Różnorodność ekspozycji rzeczywiście interesujących i wartościowych świadczy — jak się zdaje — o programie opracowanym dokładnie, perspektywicznie i z aspiracjami.

Pierwszy kwartał zaskakuje tym razem niespotykaną intensywnością, nieraz nawet irytującą łodziaków, gdyż z racji niewielkiej ilości miejskich galerii skracać trzeba niekiedy żywotność atrakcyjnych pokazów. Dążenie organizatorów jest zrozumiałe. Chodzi im bowiem o jak najszersze, najszybsze nawiązywanie łączności naszego miasta z ruchem artystycznym innych centrów sztuki w kraju (Zbudujmy galerię!). Nie stawiamy teraz zarzutów, wolimy komplementować i nie podważać sensowności poszczególnych za miernych działalności kulturalno-oświatowej BWA. Jeżeli jednak tak dobrze dzieje się w Łodzi — zobaczymy, co w województwie?

Działalność oświatowo-wystawiennicza może rozwijać się prawidłowo — rzecz prosta — przede wszystkim w tych miejscowościach, gdzie gospodarze obiektów przeznaczonych na cele kulturalne mogą zagwarantować co najmniej „względne” warunki ekspozycyjne oraz transport. Ślad nasilenie wystaw w Pabianicach, Sieradzu, Łasku, Piotrkowie, Tomaszowie, Wieluniu, a również po plenerach malarskich — w Działoszynie i Skierniewicach. I to wszystko. Prawda, że w pozostałych miejscowościach sytuacja pod względem przydatności sal do przyjęcia wystaw sztuki współczesnej jest raczej zła, niż dobra. Ale nie beznaście. Można bowiem i czynić w tym celu odpowiednie kroki, aby zaradzić złu, aby „ruszyć” lokalne środowiska, obudzić zainteresowanie problemem władz powiatowych. Znamiennym tutaj przykładem jest Wielki. Pasja działaczy kultury, siła ich zainteresowań sztuką, inspirowała do działania całe środowisko. I potrafili w nieustawnej sali Powiatowego Domu Kultury, absolutnie nie przystosowanej do tego celu, organizować pokazy plastyki. Adaptując dla ekspozycji nie wykorzystane filary nośne, uzupełniając przeparte oknami ściany przenośnym, lekkim i tanim stelażem pod eksponaty. Teraz wernisaż goni wernisaż. Tak może być i gdzie indziej. Tymczasem zbyt często decydujemy się na półśrodki, zbyt często wybieramy imitację. Brak radykalnej i dalekowszereżnej decyzji. W rezultacie, za cenc doraźnych, jednostronnych

efektów — wystawiennictwo z prawdziwego zdarzenia w województwie łódzkim zamiast rozwijać się, popada w niebezpieczny zastój. Nieuświadoma mianie sobie tego już dziś, jest co najmniej lekkomyślnością, swoistym „ulotwianiem”, rezygnacją.

Wystawy dzieł sztuki pełnią określoną funkcję, czemuś służą i przeciwko czemuś niedwuznacznie występują. Mamy dwadzieścia powiatów i gdyby BWA w każdym z nich otwierało co miesiąc jedną wystawę, mieliśmyby już 200 ekspozycji w sezonie. Jak to zrobić?

Trudno pominąć tę „odwiedzającą” próbę reorganizacji odwołującej się do współpracy z powiatami. Ale nie jest to proces, który rozwija się automatycznie, póki nie zacznie się zaspokajać istniejącego głodu wystaw w sposób sprawny i racjonalny jak najszybciej, póki nie ułatwi się kontaktu wiejskich i malomiasteczkowych środowisk z dzielnicami sztuki, bez uruchamiania specjalnych środków materialnych, bez usprawiedliwień, że brak tego, czy owego — ani na krok nie posuniemy naprzód sprawy upowszechniania kultury plastycznej w naszym województwie. Ani za rok, ani za pięć lat.

Konwencjonalizacja sposobu upowszechniania nowoczesnej sztuki nie może pozostać bez wpływu na skonwencjonalizowanie jej treści. Dlatego jednak tak dobrze dzieje się w Łodzi — zobaczymy, co w województwie?

Działalność oświatowo-wystawiennicza może rozwijać się prawidłowo — rzecz prosta — przede wszystkim w tych miejscowościach, gdzie gospodarze obiektów przeznaczonych na cele kulturalne mogą zagwarantować co najmniej „względne” warunki ekspozycyjne oraz transport. Ślad nasilenie wystaw w Pabianicach, Sieradzu, Łasku, Piotrkowie, Tomaszowie, Wieluniu, a również po plenerach malarskich — w Działoszynie i Skierniewicach. I to wszystko. Prawda, że w pozostałych miejscowościach sytuacja pod względem przydatności sal do przyjęcia wystaw sztuki współczesnej jest raczej zła, niż dobra. Ale nie beznaście. Można bowiem i czynić w tym celu odpowiednie kroki, aby zaradzić złu, aby „ruszyć” lokalne środowiska, obudzić zainteresowanie problemem władz powiatowych. Znamiennym tutaj przykładem jest Wielki. Pasja działaczy kultury, siła ich zainteresowań sztuką, inspirowała do działania całe środowisko. I potrafili w nieustawnej sali Powiatowego Domu Kultury, absolutnie nie przystosowanej do tego celu, organizować pokazy plastyki. Adaptując dla ekspozycji nie wykorzystane filary nośne, uzupełniając przeparte oknami ściany przenośnym, lekkim i tanim stelażem pod eksponaty. Teraz wernisaż goni wernisaż. Tak może być i gdzie indziej. Tymczasem zbyt często decydujemy się na półśrodki, zbyt często wybieramy imitację. Brak radykalnej i dalekowszereżnej decyzji. W rezultacie, za cenc doraźnych, jednostronnych

KSIĄŻKI NADEŚLANE

- Adam Ważyk — WYBÓR POEZJI, PIW, cena zł 16.—
- Kazimierz Przerwa-Tetmajer — POEZJE, Czytelnik, cena zł 10.—
- Jan Kochanowski — TRENY, PIW, cena zł 4.—
- Zofia Lorentz — PIERWSZA RUNDA, WŁ, cena zł 10.—
- Bolesław Taborski — LEKCJA TRWAJĄCA, W. Lit., cena zł 15.—
- Bronisław Miazgowski — REYMONT WE FRANCJI, PIW, cena zł 15.—

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



„CZŁOWIEK, KTÓREGO JUŻ NIE MA” — film nakręcony w 1958 roku przez amerykańskiego scenarzystę i reżysera, Philipa Dunne, zawiera w swym tytule pewne fatalistyczne stwierdzenie i prorocтво. Zgodnie z intencjami reżysera, film opowiada tragicznie zakończone dzieje „gentlemana żyjącego w świetle nie potrzebującym gentlemanów”, owego Gentlemana gra nie żyjący już dziś, wielki Gary Cooper, a sam film oglądany po dziesięciu latach prosi się o określenie: „Film jakich się już dziś nie robi!”.

Aleksander Jackiewicz, broniąc w „Życiu Literackim” filmu „Ludzie z hotelu”, pisał ostatnio: „Kto wie, czy najbardziej odporne na czas nie są w kinie dzieła letnie”. Filmem, który

na pewno miał nie być letni jest „Człowiek, którego już nie ma”. W swej pierwszej części odstaną na kulisy wielkiej polityki kampanii wyborczych w Stanach Zjednoczonych. Robił to pono odważnie. Ale nim ten film do nas dotarł, zobaczyliśmy „tego najlepszego” Szaftera. I wobec dawniej widzianych walorów. Czas nie był dla tego filmu łaskawy. Tym bardziej, że to co miało być w nim najcenniejsze, zawarł reżyser w jednej sekwencji filmu, reszta rozpięła się w nieznośnym sosie melodramatu, który znów w intencjach autora miał być chyba głębokim studium psychologicznym. Kim usiłuje być Gary Cooper w tym filmie? — człowiekiem na

solidnym melodramatem nie drażniłby nas może dziś tak bardzo. Jego socjologiczne i psychologiczne ambi-cje, a zwłaszcza te ostatnie, nie wytrzymały próby czasu. W międzyczasie kino raczyło nas głębszymi analizami socjologicznymi i studiami psychologicznymi ludzi, którzy walczyli o prawo szacunku dla samego siebie. Nie pomógł też temu filmowi Gary Cooper. Nie pierwszy raz okazało się, że trzeba być wielkim aktorem, by wyjść cało z mazi melodramatycznego sosu, że trudno być Gretą Garbo. Cooper w tym filmie jest na pewno samym sobą. Jest w tym filmie jego sylwetka, gest, spojrzenie, nie ma jednak wielkiego aktora. A może nigdy nie był wielki? Był mitem, cząstką historii dużego ekranu?

dzamy zieloną wyspę — Irlandię. Jej ludzi znany raczej w ich amerykańskim już wydaniu jak np. ojca Scarlett O'Hara, w „Dziewczynie o zielonych oczach” oglądamy Dublin i wioskę irlandzką, spotykamy Irlandczyków o ciekawych a burzliwych charakterach, wnoszą w życie bohaterów wiele emocjonujących przygod.

Warto chyba jeszcze wspomnieć o tym, że film ten jest debiutem reżyserkim operatora D. Davisa, bliźkiego współpracownika T. Richardsona i J. Schlesingera, czołowych przed stawicieli angielskiej „nowej fali”, co nie pozostało bez wpływu na cały styl filmu. O rokującym dobre nadzieje debiutancie pisać nie będziemy, gdyż Davis zrobił już, podobno dobre, nowe filmy, których nie znamy, a brytyjska „nowa fala” też już płynnie nowymi nurtami.



giam. Zawsze ktoś w kimś wzbudza pierwsze wielkie uczucie, zawsze ktoś kogoś uczy miłości, nie zawsze ci ludzie muszą pozostać za sobą na zawsze. Reżyser Desmond Davis w oparciu o opowieść irlandzkiej pisarki, Edny O'Brien, przedstawia na ekranie historię takiego uczucia, obserwuje je i analizuje. Pokazuje historię miłości na różnych jej etapach, w odczuciu dojrzałego mężczyzny i wkraczającej w życie dziewczyny. Film podbiła nas prawdą, szczerością i ciepłem, a tak łatwo było zesłać się i ugrząsnąć w banale. Reżyser zongluje na krawędzi i mimo to nie opowiada pomyłek. Jest odważny, gdyż pewna rubesznosc, nawet drastyczność sytuacji przeplatana głębokim liryzmem mogła stwarzać nie lada pułapki. Ogromnie mu w tej pracy pomógł aktorzy. Peter Finch odnotował na pewno jeden ze swych aktorskich sukcesów. Jego bohater, pisarz, żona-

ty mężczyzna, znajdujący w miłości do młodej dziewczyny pewne antidotum na swe życiowe kłeski, jest w interpretacji Fincha ogromnie prawdziwy. Jest i trochę niewydarzonym intelektualistą, i zmęczonym człowiekiem, i romantycznym kochankiem, ale wybiera stabilizację. Finch obdarza swą postać ciepłem, humorem i wyrozumiałością. Partneruje on znakomitemu jak zwykle Ricie Tushingham, najbardziej czarującej brzyduli ekranu, dziewczynie o zielonych oczach. Jest ona w tym filmie jedną z najbardziej autentycznych nastolatek, jakie kiedykolwiek przedstawilo nam kino. Rita w swej miłości rozkwita na naszych oczach, jej dziewczęce marzenia stają się rzeczywistością, w której krystalizuje się jej kobiecość, jej wiedza o życiu. Mądry to i uroczy film. A przy tym wszystkim zawiera jeszcze wiele wcale niebagatelnych atrakcji. Rzadko w kinie odwie-

dzamy zieloną wyspę — Irlandię. Jej ludzi znany raczej w ich amerykańskim już wydaniu jak np. ojca Scarlett O'Hara, w „Dziewczynie o zielonych oczach” oglądamy Dublin i wioskę irlandzką, spotykamy Irlandczyków o ciekawych a burzliwych charakterach, wnoszą w życie bohaterów wiele emocjonujących przygod.

Warto chyba jeszcze wspomnieć o tym, że film ten jest debiutem reżyserkim operatora D. Davisa, bliźkiego współpracownika T. Richardsona i J. Schlesingera, czołowych przed stawicieli angielskiej „nowej fali”, co nie pozostało bez wpływu na cały styl filmu. O rokującym dobre nadzieje debiutancie pisać nie będziemy, gdyż Davis zrobił już, podobno dobre, nowe filmy, których nie znamy, a brytyjska „nowa fala” też już płynnie nowymi nurtami.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



KONSTANTIN PAUSTOWSKI

KAPITAN DALEKOMORSKIEJ ŻEGLUGI

Tak określa wybitnego pisarza radzieckiego Paustowskiego, znany krytyk i historyk literatury, Wiktor Szklowski. „Nie jestem człowiekiem zbyt z zawistnym — pisze Szklowski w artykule zamieszczonym w czasopiśmie „Literaturnaja Rossija” — ale Paustowskiemu zazdroścę. Jest on człowiekiem, który w naszym kraju, a być może i we Francji i w Anglii, gdy wymienia swe nazwisko, nigdy nie usłyszy delikatnego pytania: „A jakie to są pana książki? Chciałbym je przeczytać”. Jego wszyscy znają, wszyscy czytają, kurcz nie osiada na jego książkach”. I dalej pisze Szklowski: „Sława Paustowskiego rośnie szybko.” Jaki jest powód tej sławy? — pyta i odpowiada: „Samodzielność widzenia Paustowskiego”. „Paustowski umie widzieć. Jest nie tylko jednym z kapitanów wielkiej floty radzieckiej literatury, jest także pilotem, który śmiało wskazywał statkom drogę do brzozy”. Artykuł Szklowskiego zawierający wiele

trafnych i ciekawych sformułowań, nacechowany jest wielkim szacunkiem i serdecznością w stosunku do wielkiego pisarza, który właśnie w maju obchodził swe siedemdziesięciopięcioletnie.

Przypomnijmy na tym miejscu, że Konstantin Georgiewicz Paustowski urodził się w 1892 r. w rodzinie kolejarza. Studia odbywał na uniwersytetach w Kijowie i Moskwie. Wezwanie do podróży i wykonywał najrozmaitsze prace, m. in. robotnika, marynarza i nauczyciela. Zajmował się dziennikarstwem pisując reportaże. W czasie pierwszej wojny światowej był sanitariuszem. Debiutował w roku 1911 ogłaszając pierwsze opowiadania: „Troje” i „Na wodzie”, ale dopiero w latach 20-tych staje się pisarzem z zawodu. Rozgłos przynosi mu powieści napisane w latach 30-tych, takie jak „Kara-Bugaz”, „Kolehida”, „Morze Czarne”. Napisał wiele książek, szereg opowiadań i grafik, opowiadań, powieści. Ze zbiorów nowel największą poczytnością cieszy się „Bieg czasu”. Światowy rozgłos przyniosła mu książka „Złota róża” — zbiór szkiców na temat

pracy pisarskiej. Pisarstwo Paustowskiego, świetnego stylisty jednego z największych mistrzów języka rosyjskiego, cechuje nastrojowość, subtelny liryzm, umiłowanie ojczyznej przyrody i głęboki humanizm oparty na wierze w twórcze siły człowieka.

SMIĘĆ WIELKIEGO POETY

W wieku lat 65 zmarł w Nowym Jorku wielki poeta amerykański, pochodzenia murzyńskiego, James Langston Hughes.

Urodził się w roku 1902 w Joplin (stan Missouri), w rodzinie dość zamożnej. Po ukończeniu szkoły średniej podróżuje po Meksyku, a następnie zapisuje się na studia uniwersyteckie w Kolumbii. Opuszcza studia i zaciąga się jako marynarz do floty handlowej. W ten sposób odbywa podróże do Europy i zachodniej Afryki. Porzucając zawód marynarza pracuje przez jakiś czas jako odźwierzny w paryskich lokalach, jest kucharzem w jednym z kabaretów na Montmartrze, potem podobne funkcje pełni we Włoszech. Wraca następnie do Waszyngtonu, gdzie pracuje jako pomywacz w jednej z restauracji. Uprawia pisarstwo, ale dopiero odkryty przez poetę lirycznego, Vachel Lindsay, zaczyna publikować swe utwory. W roku 1925, debiutuje książką „The Weary Blues”.



James Langston Hughes

Prawdziwy sukces przynosi mu poemat pt. „Shakespeare in Harlem”. W roku 1929 Hughes studiuje na uniwersytecie Lincoln, gdzie później w roku 1943 otrzymał tytuł doktora honoris causa.

W latach 20-tych i 30-tych, Hughes pisał głównie poematy i rewolucyjne wiersze, dla których inspiracją były pieśni murzyńskie i murzyński folklor. Pisywał też krótkie jednoaktówki.

Został następnie w Nowym Jorku dyrektorem „Harlem Suitcase Theatre”, jedynej wówczas proletariackiego teatru czarnych w tym mieście. W roku 1937 Hughes udaje się do Hiszpanii w charakterze reportera, skąd nadsyła artykuły, wiersze i reportaże w któ-

FRANK KUPKA

Za życia niemal go nie dostrzegano. Dopiero obecnie Frank Kupka jest na nowo i coraz bardziej odkrywany, podobnie jak jego rodak Czech Mucha. W tym autobiograficznym szkicu nadaje artykule, wiersze i reportaże w któ-



Frank Kupka — Jeźdźcy.

miał zaledwie trzy większe wystawy paryskie. Ostatnią w roku 1936 wspólnie z Alfonsem Muchą. Dopiero w roku 1958 paryskie Muzeum Narodowe Sztuki Nowoczesnej urządziło retrospektywną wystawę dzieł Kupki. W zeszłym roku odbyła się wystawa w Hanowerze, na której eksponowano jego rysunki, akwarele i gwasze. Obecnie w Kolonii odbywa się wielka wystawa, obejmująca 110 obrazów Kupki, sprowadzonych m. in. z Francji i Czechosłowacji. Dalsze wystawy będą miały miejsce w Monachium, Wiedniu i Amsterdamie.

Frank Kupka był jeszcze prawie dzieckiem, gdy pracował w warsztacie siodlarskim, potem udaje się na wędrowną po Czechach. Przejadkowo napotkany lakiernik uczy go mieszania farb. Kupka zaczyna malować i rysować. Wkrótce dostaje się na studia do Akademii Sztuki w Pradze, a następnie studiuje malarstwo w Wiedniu. Odbywa podróże po krajach

skandynawskich. W roku 1895 przybywa do Paryża i osiedla się na Montmartrze. Zarabkuje rozmaicie, m. in. jako medium w seansach spirytystycznych. Maluje, a równocześnie interesuje się okultyzmem filozofią, wiedzą przyrodniczą i

skandynawskich. W roku 1895 przybywa do Paryża i osiedla się na Montmartrze. Zarabkuje rozmaicie, m. in. jako medium w seansach spirytystycznych. Maluje, a równocześnie interesuje się okultyzmem filozofią, wiedzą przyrodniczą i

skandynawskich. W roku 1895 przybywa do Paryża i osiedla się na Montmartrze. Zarabkuje rozmaicie, m. in. jako medium w seansach spirytystycznych. Maluje, a równocześnie interesuje się okultyzmem filozofią, wiedzą przyrodniczą i



Frank Kupka

astrologią. Po kilku latach pobytu w Paryżu, Frank Kupka postanawia zostać zawodowym ilustratorem książek, Maluje także plakaty i wykonuje satyryczne rysunki. Wkrótce coraz bardziej zbliża się do środowiska artystycznego dostając się w krąg oddziaływania talentu Toulouse-Lautreca i impresjonistów.

Styl malarstwa Kupki, na przestrzeni jego działalności twórczej ulega

poważnym przemianom. Od realizmu, niemal fotograficznego, poprzez rozmaite style i wpływy działających szkół malarzkich dochodzi wreszcie Kupka do malarstwa abstrakcyjnego, charakteryzującego się geometrycznymi kompozycjami.

Ciekawe są jego malarskie poszukiwania oddania kolorem dźwięku. „Wierzę — mówi — w to, że znajdzie coś, co leży między tym co się widzi, a tym co się słyszy — figurę z barw, tak jak Bach tworzył ją z dźwięków”. Toteż w twórczości Kupki znajdujemy m. in. dzieła zatytułowane np. „Fuga na dwa kolory”.

WYSTAWA SZTUKI „PRYMITYWNEJ”

Staraniem la Société des Amis du Musée de l'Homme (Stowarzyszenie Przyjaciół Muzeum Człowieka) została zorganizowana w Paryżu wystawa sztuki „prymitywnej”. Ekspozowano około 150 przedmiotów sztuki afrykańskiej, ludów Oceanii, Ameryki (przed okresu kolumbijskiego) itp. Ekspozycje te pochodzą ze zbiorów prywatnych takich artystów jak Georges Braque, André Derain, Max Ernst, Henri Laurens, Henry Moore i inni.

S(=R) + B

Taki jest tajemniczy tytuł plastycznej w sztuce kinetycznej w Norymberdze. Wzór oznacza: światło i barwa, światło i ruch i barwa. Ogólne wrażenie z wystawy jest dość dziwne. Ekspozycje błyszczą się, świecą, zmieniają kształt i barwę, poruszają się i wydają dźwięki. Niektóre



Na wystawie sztuki kinetycznej w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Paryżu

Jak wiadomo, Braque i Picasso byli pierwszymi, którzy zwrócili uwagę na niezwykle walory sztuki ludów murzyńskich. Sztuka „prymitywna” (w ślad za prasą francuską piszemy to słowo świadomie w cudzysłowie) wywarła poważny wpływ na kształtowanie się stylów i gustów artystycznych naszej epoki.

SAINT-EXUPERY W ZSRR

Jak informuje radziecki magazyn „Sputnik”, biografia Saint-Exupery'ego ukazała się w Moskwie w nakładzie 225.000 egzemplarzy, zaś „Mały książek” tegoż pisarza został wydany w nakładzie 450.000 egzemplarzy.

WYSTAWA OBRAZÓW MARCA CHAGALLA W ZURYCHU

Marc Chagall przybył na otwarcie wystawy swych obrazów w Zurychu. Między innymi znajduje się 8 obrazów Chagalla wypożyczonych ze Związku Radzieckiego. Te twórcy ujrzał je znówu po upływie prawie 50 lat. Jedno zwłaszcza z płócien jest specjalnie ulubione przez wielkiego malarza.

Notatki na MARGINESIE

Tym razem „Odgłosy” trafiły (fatalnie) w dziennik. Ledwieśmy podali do wiadomości publicznej fakt (jak to delikatnie nazwać? — może chwilowego przetrzymania przez GKKF ponad 130 milionów wptat z łódzkiego Totolotka, a tu — bomba: Łódź rezygnuje z organizacji memoriału im. J. Kusocińskiego, bowiem

■ brak telefonów sprawodawczych, ■ brak pomieszczeń dla dziennikarzy — sprawodawców, ■ i co najważniejsze — brak niezbędnych urządzeń lekkoatletycznych. Jak sprawę tę skomentować? Na wszelki wypadek, jako żem oportunistą i człowiekiem lekkim — wstrzymam się od komentarzy. Co więcej — idę o zakład (stawka: butelka nektaru truskawkowego), że za moim przykładem uczynią tak i LKKE, i działacze i ciżba naszych miejscowych sportowych dziennikarzy.

Dzięki telewizji poznaliśmy wandalę całkiem nowego typu: nawykliśmy bowiem z pojęciem wandalizmu łączyć wyobrażenie chuligana, który pod osłoną zmroku niszczy w parkach ławki i tucze lampy. A tym czasem brutalny pokaz prostactwa, pełnego pogardy stosunku do zabudów historycznych, dal nam w reportażu telewizyjnym pt. Sybilla i buldożery; jakiś miejscowy puławski wygo-

lony i w koszuli no-iron) kaczy, który nakazał przebiegać autostradę przez słynny z uroków park.

Patrząc na oburzenie uczestniczącego w audycji zacnego pana kustosa Lorentza rozmyślałem nad tym, jak to się dzwinnie plecie na tym bożym świecie: bowiem zabytli obchodzą nas tym żywiej, im są bliżej położone wielkich arterii komunikacyjnych. Na uboczu sprawy mają się czasem zgola innezej. Chyba dlatego np. dewastacja przepięknego pałacu i parku w Kruszynie, o której alarmowałem w roku ubiegłym — nikogo właściwie nie wzrusza.

ANECDOTY O FRANCUZACH:

Pierwsza: Siwy, pełen wstrzemięźliwości w sądach profesor z Grenoble nagłe wybuchł entuzjazmem: tak go zachwyciła nasza wystawa portretu sarmackiego. Ze to malarstwo takie oryginalne, tak cenno poznawczo i pełne takiej świeżości. Po czym pan profesor z zażenowaniem dodaje:

„Ale Polki to w XVII i XVIII wieku nie były chyba zbyt urodziwe”.

Drużyna:

Przygotowując film TV o Marii Curie-Skłodowskiej nasi redaktorzy odszukali naukowców francuskich, współpracujących niegdys z wielką uczoną. Relacje tych starszych, zasłużonych dla nauki panów zaczęły się zawsze od tego samego stwierdzenia. „Cóż to była za urocza kobietka!”

A dowcipy angielskie? Są uporne, co jest, jak twierdzi Lech Budrecki, dziedzictwem po romanse gotyckim. Oto przykład (upornego) angielskiego dowcipu, cyrowanego przez prasę zachodnią. Nawijając do skandalu wokół wskrzeszenia przez Hochhutha sprawy Sikorskiego, lord Chamber pyła lorda Edena: — Czy słyszał pan, żeś my ponoć wydał rozkaz sprzątnięcia Sikorskiego? Na to Eden: — Nie pamiętam: jakoś

uściślało to mej uwadze. Koniec dowcipu. A najbardziej chce się śmiać nam, Polakom, byłym sojusznikom Wielkiej Brytanii.

Jeśli już mowa o sprawach brytyjskich i polskich. W jednym z ostatnich numerów szacownego Observera trafiam na recenzję głośnej na Zachodzie książki Steinera pt. Treblinka. Pod wymownym tytułem — Przerwać milczenie — Mordecai Richler pisze... Lecz po cóż relacjonować, lepiej zacytować: „Z tysiąca (Żydów z obozu w Treblince — przy pis nasz), którzy się zburowali 2 sierpnia 1943 roku, około 600 zdołało zbiec do lasów. Z tych 600 do wkrótce Czerwonej Armii w rok później przetrwało tylko 40. Pozostali zginęli zamordowani przez polskich chłopów, partyzantów, gestapo...” Nam, Polakom, zapiera dech, gdy czytamy takie stwierdzenie. A przecież na Zachodzie narasta fala książek, powieści, opracowań doku-

mentalnych i filmów, w których Polak — morderca Żydów — jest wymieniany, tak jak w relacjach Steinera i Mordecai Richlera, nawet przed gestapo.

Jedna jaskółka nie czyni wiosny, opracowana przez Żydowski Instytut Historyczny książka Ten jest z ojczyzny mojej — to mało. Zanotujmy więc, że z przyczyn, których zaledwie możemy się domyślić, zaniechali przeciwdziałać tej oszczerczej kampanii ci, do których (nawet i służbowych) obowiązków to należało.

Rozeszły się pogłoski (ich źródło: szepczona propaganda), że dom przy skrzyżowaniu Mickiewicza i Kościuszki zwany popularnie „kolchozem literackim” ma być ze względu na urbanistycznych przesunięty na inne miejsce. Usiłowałem zbadać tzw. meritum tej sprawy i stwierdziłem, że w trakcie uzgadniania opinii kół zainteresowanych ośro stary się dwie diametralnie różne propozycje. Pierwsza z nich do-

re z mobilów wymagają naciśnięcia guzika, który uruchamia motor i wprawia eksponat w ruch. Podobno w pierwszej chwili ta zmienność form, dźwięków, barw, szokuje i intryguje, następnie jednak nuży. Podobna wystawa zatytułowana „Światło i ruch” znajduje się w paryskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

magala się by budynek przesunąć do Warszawy i zlokalizować nieopodal Pałacu Kultury. Druga idea ulokowania gmachu na wzgórku nad Wartą, w parku pewnej „resztki” zbiegającej tarasami ku rzecze. Również i szczegółowe zagadnienia przyszłej lokalizacji wywołują spory; i tak część osób władnych domaga się orientowania budynku fasadą na wschód, inni znów chcieliby z okien patrzeć na piękne polskie zachody słońca.

Jak widać i w tej kwestii — jak we wszelkich spornych kwestiach dotyczących naszej kultury — nie uda się osiągnąć porozumienia. I to chyba zdecydowanie: znaki na niebie i na ziemi zdają się wskazywać, że szacowny i zasłużony gmach doczeka emerytury (czyta) rozbiórki — ale dopiero w XXI w.) na obecnym miejscu.

A fundamenty to ma zdrowe!

Marcin Białobliki

GRECJA za kratami

EPOCA

LIVIO PESCE

Od zamachu stanu w Grecji minęło zaledwie dni trzy, a panuje tu już całkowity spokój. Po dawnemu po licianej kierują ruchem ulicznym, ludzie krzatają się wokół spraw codziennych, a turysci bawia się i właściwie nie widać żałoby po utracie wolności, której chyba mimo wszystko brakuje. W Atenach przed smaczem pustego parlamentu przechadza się młodym krokiem znużeni żołnierze, a babcie z wnucami przystają by karmić gołębie, których tu mnóstwo. Sklepy są otwarte, kawiarnie przepelnione, ludzie żyją tak, jak gdyby nie się tu nie wydarzyło.

Jadąc do Grecji myślałem o tym, że właściwie demokracja straciła w tym kraju swoje imię. Szukałem tych, którzy z tej racji chcieli złożyć kondolencje. Nie znalazłem ich — są w więzieniu lub na wyspie Giaros.

Koleczy, spotkani zaraz po przyjeździe twierdzą, że gorące dni trwały bardzo krótko — zaledwie dwa tygodnie, mówią o nich jak o sprawie dawno przeterminowanej. „Idź, wpisać się na listę dziennikarzy — radzą mi — będziesz mógł uczestniczyć w konferencji z Pattakosem”.

Generał Stylianos Pattakos — niedużego wzrostu, siwy, o przebiegłym wyrazie twarzy. Prawie co wieczór urządza konferencje prasowe dla zagranicznych dziennika-

ry. — „Macie panowie tylko 15 minut czasu” — mówi Pattakos. Coraz przerywa rozmowę telefon. Pattakos za każdym razem, przeprosza, by mówić z członkami rządu. Ktoś pyta dlaczego zakazał noszenia minispodniczek i długich włosów? Nad głową Pattakosa wiszą portrety króla Konstantyna i pięknej królowej Marii. — „A co z Andreassem Papandreu?” — pada pytanie. „Właśnie przewożą go do więzienia w Averof — tu jał w mieście”. „A co z jego ojcem?” — „Giorgio jest zwolniony, ale będzie miał areszt domowy”. — Pattakos swoich więźniów nazywa po imieniu. Konferencja skończona. Idziemy na mecz piłki nożnej. Gra mistrzowska drużyna Aten i szwajcarska Serrette. „Dziś po raz pierwszy od tamtych dni — szczęście mi do ucha sasiad — widzimy takie zgromadzenie ludzi”. Na stadionie wielotysięczny tłum. Wynik spotkania 1:1, ale gra interesująca. Zaraz na początku meczu zjawił się w łóżce honorowej Pattakos, uśmiecha się, spogląda dokoła, dewny siebie.

Więzienie Averof znajduje się naprzeciw stadionu. Spoglądam w tę stronę. Tam jest Andreas Papandreu świetny ekonomista, deputowany do parlamentu — wykładowca na uniwersytecie Berkely w Kalifornii. Widziałem go w Atenach w 1965 roku, wierzył w zwycięstwo, był pełen zapału. Studenci skandowali jego imię, tłumy żądały powrotu oca do rządu, wierzyli, że Andreas potrafi zmienić Grecję w państwo naprawdę nowoczesne. Gdzie są dziś ci co tak wołali?...

Na placu Kolonaki, najelegantszym placu Aten — spacerują piękne dziewczyny w spódniczkach mini i opaleni chłopcy w wąskich spodniach. Kpią w żywe oczy z zakazu rządowego. Pytam piękną blondynkę — studentkę, która hojnie odsłania nie tylko kolana, ale i uda, co myśli na temat zakazu mody mi-

nej... Śmieje się w głos. „Też chce Pattakos, bo ma strasznie brzydkie córki. To zazdrość ojcowska i nie wiem, czy jest słuszna”. — Słychać muzykę Mikis Theodorakisa, słynnego autora piosenek z filmu „Grek Zorba”. Theodorakis komunistą, przywódca ugrupowania Lambrakisa uciekł z więzienia. Mówi się dziś o nim, jak o legendarnym bohaterze, a jego sirtaki tańczy cała młodzież grecka.

Odpowiada mi ktoś, że pewien emigrant grecki przysłał z Brazylji na rece premiera fotografie — w pierś Pattakosa wbite dwie strzały — i dodał — „Wy podliście amerykanów, jeśli zabijecie Theodorakisa — zabijcie was!” Pod soodem nadawca złożył swój podpis. Pattakos pokazuje często ten list zebranym u siebie dziennikarzom. — „To prawdziwy czło-wiek” — dodaje.

Zamach stanu był sprawą grupy oficerów. Dokonało go 20 czy 30 wyższych i niższych oficerów, na których czele stało trzech generałów: Stylianos Pattakos — lat 54, pułkownik Geor Papadopoulos — lat 48 i 46-letni pułkownik Nicolas Makarezos. Najbardziej zdecydowany był Papadopoulos, szef służby informacyjnej. Jego kontroli podlegali wszyscy, od króla do komunisty. Ci co doszli do władzy, to ludzie orientacji zachodniej — monarchiści i konserwatyści, uważający się za najszybszą część narodu.

Zamach stanu ujawnił fakt, o którym politycy greccy nie wiedzieli, a może nie chcieli wiedzieć, że naród grecki miał dość ciętych zmian rządu, które następowały jedno po drugim. Nie bez znaczenia były też głodowe zarobki robotników należące do państwa w Europie. Grecja szczytowała się drugim miejscem w światowej żegludze handlowej, ale z 2682 statków tylko 1773 pływa pod grecką banderą. Ten problem również wymagał rozwiązania. Komuniści

popierał starego Papandreu i jego syna Andrasa, który w Stanach Zjednoczonych uchodził za lewicowca.

Sytuacje wykorzystali zamachowcy zadając śmiertelny cios demokracji. I zaraz po zwycięstwie posyłały się oferty współpracy. Pierwsza złożył premier Kamellooulos — za nim poszli inni. Tylko komuniści i stary Papandreu zachowali twarz. Jest z nimi Manolis Glezos — ten, który podczas okupacji niemieckiej zatknął grecki sztandar na Akropolu.

Dziś partia komunistyczna jest poza prawem. Inne partie właściwie już nie istnieją. A prezydent Nowy rząd zamknął 6 dzienników i 2 tygodnik. Lokale redakcyjne molowali żołnierze działając zgodnie z otrzymanym rozkazem. Wydawnictwo Eleny Vlachou, o poglądach lewicowych, zostało zamknięte. — „Bede nadal płacić swoim pracownikom — oświadczyła pani Vlachou — moje pieniądze przeotrwaia pułkowników”.

Ściśle polecenia pułkownika Papadopoulosa otrzymują codziennie redakcje wielkich dzienników, jak Akropolis, Vinie, Eleftherios, Kosmos, Ta Nea, Ethnos, Cenzura nakazuje pisanie i chwalenie nowego reżimu. Rząd liczy się bardzo z opinią prasy zagranicznej. Ale te gazety, które prawdziwie oceniali sytuację ukazywały się bez strona, na których mowa o Grecji.

Jak długo trwać beda rządy pułkowników?... Ktoż może przewidzieć...

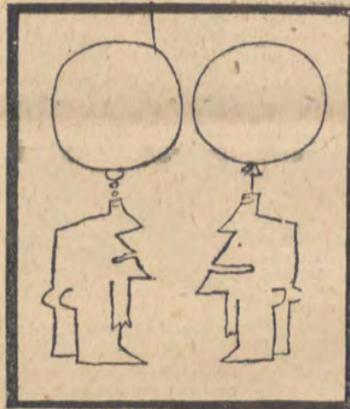
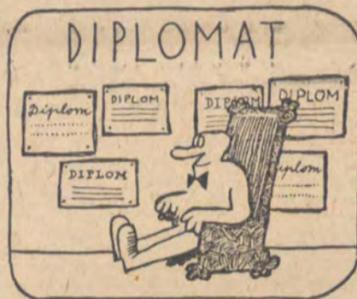
Spokój panuje w Atenach, porządek panuje w Grecji. Tylko na murze przy placu Kolonaki, tam gdzie kręca się szalone dziewczyny i na brzo opaleni chłopcy czytała napisana „Sojmy, ale zbudzi my sie!” Policja wapnem za tarta słowa, ale litery pisane smola na nadal widoczne, jak gdyby tylko przesłonięte mgłą. Każdego dnia wschodzi słońce ale ta mgła pozostaje...

oprac. MARIA TYMOWSKA



General Stylianos Pattakos

Z satyry czeskiej



Lewym okiem

ETIUDA W TONACJI MÓL

„Kacik dobrej gospodyni” w „Głosie Robotniczym” podał niedawno, że straty, spowodowane przez mole, sięgają w Polsce trzystu milionów złotych rocznie. Gdyby polskie mole miały podniebienia tak snobistyczne, jak wielki odsetek klienteli ciuchowo-komisowej, i żywiły się tylko prawdziwymi futrami, to zjadłyby co rok akurat połowę wszystkich futer, wyprodukowanych przez przemysł kluczowy w takim samym okresie czasu. Ale mole nie są takie niewybredne i właściwie to kosztują nas niedużo, jeśli wierzyć „Kacikowi dobrej gospodyni”: trzysta milionów, to przecież zaledwie dziesięć złotych na głowę rocznie. Nie wiem tylko, jak to wyliczono. Skoro kupię cztery paczki „Molotexu” za dwadzieścia złotych, a mole i tak zrobią mi dziurki w jesionce za trzy tysiące, to ile straciłem? Trzy tysiące, czy trzy tysiące plus dwadzieścia? A jeśli z tego ma wypaść średnia dziesięć, to by znaczyło, że

dwie tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt osób w Polsce nie miało absolutnie żadnych kłopotów z molami, co jest nieprawdą, bo wszyscy moi znajomi mają.

Kiedys na lekcji przyrody zapytał mój dwunastoletni kolega profesora: czy istniały na świecie mole i czym się żywiły, zanim wynaleziono sposób tkania wełnianych włókien i mroczne szafy do przechowywania ubrań? Nie pamiętam, co odpowiedziała na to biologa z wyżyn katedry. Jeszcze niedawno można było pytać, co zrobia mole, gdy zamiast wełny znajdą w szafie samą chemię na bazie węgla, nafty i szkła? I znów nie wiem co by powiedziała biologa.

Wiem natomiast, że mole czują się świetnie, błyskawiczymi skrzydełkami, mnożą się i nie tracą apetytu nawet na widok elany, mimo jej pokutniczych kolorów.

Być może są to inne mole, syntetyczne. Nawet na pewno tak jest, bo żaden z krajowych antyśrodków, nie pozbawia ich humoru i chęci życia. Dobra gospodyni radzi, żeby raz na miesiąc wywiesić odzież na 90 minut na słońce przy temperaturze 20 st. Dobra gospodyni nie mówi, skąd wziąć w naszym kraju tyle słonecznej pogody, i to co miesiąc. Jako łodzianin mógłbym jeszcze dodać, że w mojej dzielnicy po dziewięćdziesięciu minutach wiszenia za oknem odzież byłaby pokryta warstwą szafy i nadawałaby się wprost do palni, gdzie wykończono by ją do reszty i na sucho.

Ponieważ mieliśmy niedawno Dni Oświaty i Międzynarodowe Targi Książki, można by snuć całkiem efektowne porównania, czerpiąc przykłady właśnie z terenu kultury. Oto T. Drewnowski pisze w „Polityce”, że budowa gmachu Biblioteki Narodowej w Warszawie wyniesie 200 milionów złotych. Mniej, niż roczne utrzymanie kra-

jowej armii moli. Przedsiębiorstwa produkcyjne sfinansowały ze swych funduszy pozaoferacyjnych budowę klubów, świetlic i domów kultury sumą 339 milionów złotych. Taką samą kwotą finansujemy w skali kraju w nasz rodzimy molostan.

Przed dwoma laty Jesionowski w „Kulturze” też podawał różne nader ciekawe liczby: koszty utrzymania, na przykład, wszystkich instytucji muzycznych wynoszą rocznie jak ułaj 310 milionów. Tyle, co koszty utrzymania moli. Wpływy ze sprzedaży książek, wydawanych przez resort Min. Kultury i Sztuki, wyniosły 822 miliony; a ponieważ literatura piękna stanowiła około 20 proc., wpływ ze sprzedaży powieści i poezji wyniosły 160 milionów. Cała roczna produkcja literacka wystarcza więc zaledwie na głodowy byt co drugiego mola, a co drugi musi liczyć na dotacje z innych resortów. Bardzo to śmieszne i smutne. Zlikwidowaliśmy już niedjedno zło, traktowane do niedawna jak kłeska żywiołowa. Czyżbyśmy nie mogli sobie poradzić z malutkim skrzydlatym stworzonkiem? Te środki, które czasem można dostać w „Argedzie”, a które są przecież po prostu różnie nazywaną najtalną naprawdę nie skutkują — zapytajcie moją żonę. Wypróbowaliśmy wszystkie. Po tygodniu nic z nich nie zostaje i wciąż — ledwie zapalimy światło o zmroku cała rodzina biega po pokojach i klaszczę: mol! mol! Najwyższy czas, żeby się do tego zabrał prawdziwi fachowcy i żeby wejrzeli w jakość środków antymolowych. Inaczej będziemy zmuszeni pisać trzy razy więcej książek, żeby zarobić na mole. Ostrzegam!

ĆWIEK